Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

ŁOWIEC POLSKI



Stare dęby na tle puszczy przed domem myśliwskim w Białowieży. Fot. W. Pikiel.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 8—9 (820/821) 20 MARCA 1936 R.



Z polowania reprezentacyjnego w Białowieży. Pan Prezydent Rzeczypospolitej, Prof. Ignacy Mościcki, z P. Gen. Dyw. Kazimierzem Sosnkowskim, Prezesem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, wyruszają do kniei. Fot. W. Pikiel.

Z POLOWANIA REPREZENTACYJNEGO W BIAŁOWIEŻY

Początek sezonu myśliwskiego na grubego zwierza był w roku bieżącym bardzo niepomyślny — zupełny brak śniegu uniemożliwiał ustalenie oddziałów ostoi dzików w kniei, brak mrozów utrudniał dojazd myśliwych do ostępów i przejście naganki przez mioty bagniste, a o tropieniu wilków i rysi nie było wogóle mowy. Taki stan trwał do końca pierwszego tygodnia lutego. Trudne zadanie mieli gospodarze i łowczowie terenów łowieckich — gdyż zbliżał się marzec i nie można było już polowań na dziki dłużej odkładać, ze względu na kończący się sezon (do dn. 29. II.) — oraz na tak zmienną i kapryśną w tym roku pogodę.

W Białowieży, w tej prastarej, olbrzymiej i cudownej kniei, miały się odbyć w tym roku trzy dwudniowe polowania reprezentacyjne z udziałem naszego pierwszego myśliwego, Najdostojniejszego Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i Jego gości z kraju i zagranicy.

Zrozumiałem było, że z pewną trwogą i uczuciem niepewności przystępowały osoby odpowiedzialne za wyniki tych polowań do ich organizacji, a w szczególności Dyrektor Puszczy Białowieskiej, p. Karol Nejman i łowczy białowieski, p. Inspektor Maksymiljan Doubrawski, na barkach których, poza stałą troską o zwierzostan przez cały rok, spoczywał ciężar organizacji tych polowań, tak odpowiedzialnych wobec osób, które w nich brały udział.

Terminy polowań zostały ostatecznie ustalone, a mianowicie:

dla I grupy na dzień 14 i 15 lutego; dnia 16-go, w niedzielę — przerwa;

dla II grupy na dzień 17 i 18 lutego;

dla III grupy na dzień 20 i 21 lutego, ewentualnie i na 22 lutego.

Jak na obstalunek, dnia 11 lutego zaczął padać śnieg, wreszcie przyszedł i stopniowo potęgował się mróz.

Dnia 13 lutego wieczorem przybył do Białowieży Pan Prezydent Rzeczypospolitej wraz z otoczeniem.

Goście I grupy przybyli dopiero w dniu 14 lutego rano. O godz. 6 m. 45 zagrały pobudki w trzech miejscach: przy pałacu, przy domu myśliwskim i na rampie kolejowej, przy pociągu reprezentacyjnym. O godzinie 7 m. 30 zjechali się wszyscy do pałacu na śniadanie. Goście wesoło gwarzyli i widoczne było na wszystkich twarzach podniecenie, szczególnie w chwili losowania stanowisk. 5 minut przed ósmą zagrały po raz wtóry trąbki — był to sygnał do wyjazdu. Samochody już stały gotowe przed pałacem. Punkt o ósmej ruszył sznur samochodów w stronę nadleśnictwa Narewka, do punktu zbornego, gdzie już przesiadano się na ponumerowane sanki.

Piękny to był widok w chwili ruszenia sań do odległego o 2 kilometry od punktu zbornego miotu.

W pierwszych sankach, wskazując drogę, jechał Łowczy p. Insp. Doubrawski z podłowczym — w drugich sankach niżej podpisany — prowadząc korowód. Następne sanki wiozły Dostojnego Gospodarza, Pana Prezydenta Rzeczypospolitej wraz z Panem Premjerem Zyndram-Kościałkowskim. Następne trzydzieści kilka sań wiozły gości i służbę.

Punktualnie o godz. 9-ej myśliwi już stali na stanowiskach i rozległ się na trąbkach sygnał: „ruszaj".

Naprężenie nerwów myśliwych i organizatorów polowania w czasie trwania pierwszego miotu było specjalnie silne, a w szczególności organizatorów, bowiem został wprowadzony w czyn po raz pierwszy system pędzeń, który już przed dwoma laty był rozpatrywany, a doczekał się dopiero teraz zastosowania w praktyce. System ten polega na pędzeniu jednocześnie 6-ciu oddziałów: 2 na długość, 3 na szerokość (myśliwi stoją tylko na granicy miotu środkowego oddziału); skrajne 4 oddziały są przedewszystkiem pędzone w kierunku 2 środkowych i to bardzo wolno; kiedy naganka dojdzie do linji oddziałowych, okalających 2 środkowe oddziały, rozpina się fladry, które naganka ma na plecach — po związaniu flader pędzi się środkowe dwa mioty na linję myśliwych — początkowo też bardzo wolno.

Pierwsze 40 minut oczekiwania upłynęło ponuro, bowiem nie było słychać naganki, a niebo było zachmurzone. Pan Doubrawski, który stał niedaleko mego skrajnego stanowiska, zaczął niespokojnie przestępować z nogi na nogę. Strzału dotychczas nie było słychać. Wreszcie odezwały się sygnały na znak, że rozpoczęto pędzenie 2-ch środkowych oddziałów na myśliwych. Upłynęło jeszcze z 10 — 15 minut ciszy — wreszcie padł pierwszy strzał, po chwili jeszcze kilka.



Z Białowieży. Premjer Rzeszy Niemieckiej gen. Herman Goering w towarzystwie gen. dyw. Kazimierza Fabrycego, Wiceprezesa Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich. Fot. W. Pikiel.

Liczę je — padło już 6, chwila ciszy i zaczyna się strzelanina, jak na dobrem zajęczem polowaniu w lesie. Miot się kończy, p. Doubrawski podchodzi do mego stanowiska z uśmiechniętą twarzą, mówiąc: — 78 strzałów; ja mówię: — naliczyłem tylko 77 — ciekawy jestem co leży na rozkładzie?

Następny miot jest odwracany; myśliwi pozostają na miejscu, zmieniając tylko kosze, stojące po drugiej stronie linji, naganka sięga w naszą stronę. Zarzucamy gajowych pytaniami, ile widzieli zabitych dzików. Pierwszy strażnik łowiecki raportuje, że widział pięć sztuk — następny 7 i tak cyfra rośnie aż do 17. Nam dusza się raduje i ciekawi jesteśmy co da drugi miot, zorganizowany taksamo, lecz, niestety, jest trochę gorszy wiatr.

Naganka pierwszego miotu już ściągnięta—sygnał drugiego miotu. W tym miocie nie trzeba było tak długo czekać na pierwsze strzały; padło ich 48 i miot ten dał na rozkładzie 10 dzików.

Idę w kierunku stanowisk Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Pana Premjera, po drodze widzę rozochocone twarze myśliwych — każdy ma dużo do opowiadania — lecz przepraszam ich i podążam do celu. Dochodzę do stanowiska Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i widzę, że nasz Najdostojniejszy Myśliwy jest uśmiechnięty, wesoły i rozmawia z Panem Premjerem, który jest w takim samym nastroju.

Chwila miłej rozmowy — lecz że względu na czas proszę Pana Prezydenta, aby wsiadł do sanek, bo mamy jeszcze dzisiaj trzy mioty, a czas ucieka.

W drodze do trzeciego miotu spotykam p. Dyr. Nejmana, który się uśmiecha; miał on podwójny powód radowania się, bowiem cała organizacja i wynik polowania, to rezultat jego troskliwej i umiejętnej opieki oraz gospodarki w ciągu całego roku, pozatem zrobił on w pierwszym miocie bardzo trudnego dubleta do dzików.

Niestety pogoda się psuje, sypie śnieg tak gęsty, że zaledwie na parę kroków można coś dojrzeć — pozatem okiść w oczach rośnie. Trzeci miot już nie jest tak duży, bo obejmuje $1\frac{1}{2}$ oddziału, kończy się on już przy przecierającem się słońcu. W czasie drogi na śniadanie wyjaśnia się zupełnie i pogoda ustala się na cały czas wszystkich trzech grup polowań.

Puszcza daje nam obraz czarownej bajki. Odziana jest w najwspanialszą zimową szatę, przy blasku słońca, bez wiatru, pomimo potęgującego się mrozu aż do 28,6 stopni Cel. poniżej zera. Zupełnie nie odczuwa się zimna, przeciwnie — słońce silnie przygrzewa.

Wynik polowania I grupy w dn. 14 i 15 dał 61 dzików i 2 lisy. Pan Prezydent upolował w czasie tych 2-ch dni 6 dzików.

Z żalem opuszczali goście I grupy Białowieżę. W międzyczasie doszły wieści o pomyślnym rezultacie polowania do zaproszonych gości II i III grupy, którzy w przedsmaku rozkoszy myśliwskich już przywieźli do Białowieży duży zasób dobrego humoru.

Wszyscy myśliwi żegnali Białowieżę oświadczając, że były to prawdziwie królewskie łowy.

Ogólny wynik tych trzech polowań dał rezultat 134 dzików, w tem bardzo duży procent odyńców i wycinków, 8 rysi, wszystkich wyrośniętych, dużych sztuk, w tem 2 olbrzymie koty — 1 wilka, 5 lisów i 2 skrzydlate drapieżniki; razem 150 sztuk.

Nie należy się łudzić, że na przyszłość w każdym roku będzie tak dobry wynik. W roku bieżącym składało się na to wiele czynników. Przedewszystkiem wspaniała pogoda, znakomita sanna, która pozwalała zachować ciszę w lesie, pomimo przenoszenia z miejsca na miejsce tak olbrzymiego aparatu, jakim jest organizacja polowań; zły urodzaj żołędzi, wobec czego można było zwierzynę zapomocą dawanej karmy względnie zgrupować, a w szczególności, że we wszystkich trzech grupach była przewaga dobrych strzelców kulowych, którzy dawali sobie radę pomimo szalonej okiści, przy której zwierz pokazywał się i ginął tak szybko, że często nawet na bardzo bliską metę nie można było dojść do strzału.

Naogół w Białowieży dzików było dużo — liczne stadka, prowadzone przez czujne maciory, przebijały się przez naganke, lecz chwała św. Hubertowi za to, bo musi zostać coś dla dalszej hodowli.

Tropienie grubych drapieżników było wprost niemożliwe, bowiem suchy i sypki, jak piasek, śnieg zasypywał natychmiast tropy, co uniemożliwiało rozróżnienie świeżego tropu od dawniejszego. Taki stan przyczynił się, że złapać w sznury wilki było rzeczą niemożliwą.

Po zakończeniu polowania każdej z grup urządzany był wieczorem uroczysty p o k o t przy rozpalonych ogniskach w koszach, umieszczonych na słupach, przy fanfarach orkiestry, złożonej z pp. leśniczych, podłowczego i straży łowieciej, która grała na myśliwskich trąbach francuskich. Pan Prezydent Rzeczypospolitej, wysłuchawszy oficjalnego raportu o wyniku polowania i ilości oddanych strzałów, oglądał wraz z dostojnymi gośćmi trofea. Była to chwila bardzo uroczysta oraz efektowna tak pod względem dekoracyjnym, jak i muzycznym.

H. KNOTHE



Pokot. Dziki i rysie, ubite w dniach 17 i 18 lutego 1936 r. na polowaniu reprezentacyjnem w Białowieży. Fot. W. Pikiel.

NOWY USTRÓJ ORGANIZACYJNY ZWIĄZKU I ROLA DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Potrzeba organizowania się świata łowieckiego istniała już przed wojną. Toteż już wówczas widzimy we wszystkich państwach europejskich mniej lub więcej silne organizacje łowieckie, wywierające poważny wpływ na układ stosunków w tej dziedzinie. Miały one jednak za zadanie raczej stworzenie racjonalnych metod uprawiania łowiectwa, służenie przykładem szerokim masom myśliwych, niż kontrolowanie ich działalności i stworzenie silnej organizacji, mającej utrzymać w ryzach rzesze myśliwskie. Nie można jednak powiedzieć, aby i ten moment w organizacjach przedwojennych nie był w tej lub innej mierze uwzględniony.

Mieliśmy i my podobne organizacje na obszarze poszczególnych zaborów, które w sposób chlubny zaznaczyły swoją działalność. Na obszarze b. zaboru rosyjskiego działało Cesarskie Towarzystwo Racjonalnego Polowania, na obszarze b. zaboru austrjackiego — Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, wreszcie na obszarze b. zaboru niemieckiego Wielkopolski Związek Myśliwych.

Wojna wywołała jednak daleko idące rozbicie tych organizacyj, umiejących i w stosunkach przedwojennych utrzymać swój polski charakter, a zupełnie odmienny układ powojennych stosunków uczynił naglącą potrzebę stworzenia wspólnej organizacji, któraby umiała obracać się wśród nowych, nader ciężkich dla rozwoju łowiectwa warunków. Przystąpiono więc do utworzenia „Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich", którego statut został zatwierdzony w kwietniu 1923 roku. Charakter Związku początkowo był ściśle reprezentacyjny. Chodziło o stworzenie wspólnej reprezentacji stowarzyszeń, które go utworzyły, dla wspólnego występowania wobec władz centralnych, celem uzyskania przedewszystkiem jednego dla całego państwa prawa łowieckiego, który to cel, jak wiemy, został osiągnięty w końcu 1927 roku.

Jak dalece charakter reprezentacyjny miano wówczas na widoku, świadczy § 15 pierwszego statutu Związku, w myśl którego każde stowarzyszenie miało w Związku swego przedstawiciela w charakterze członka Zarządu. Nie miano wówczas na myśli tworzenia jakiejkolwiek reprezentacji Związku przy władzach wojewódzkich i powiatowych i wogóle jakiejkolwiek decentralizacji i działalności w terenie. Występowanie wobec władz centralnych, to jedyne zadanie owego narazie w skromnym zakresie tworzonego Związku. Ten charakter Związku miał jeszcze tę zaletę, że pozostawiał nietkniętemi przedwojenne ideowe organizacje łowieckie, dając możność wyzyskania ich walorów i dorobku, przedewszystkiem zaś dając przy ich udziale surogat jakiejkolwiek działalności na terenie.

Taka organizacja Związku nie mogła się oczywiście długo ostać. Pierwszą jaskółką, zwiastującą zmianę organizacyjnych podstaw Związku, było powołanie do życia instytucji delegatów powiatowych, co nastąpiło z początkiem 1926 roku.

Obsadzenie delegatami wszystkich powiatów Rzeczypospolitej wymagało doskonałej znajomości stosunków miejscowych i ludzi, którzyby się do tego odpowiedzialnego stanowiska nadawali. Oczywiście trudno to robić z centrum z Warszawy. Z drugiej strony działalność delegata od samego początku nie mogła być tylko reprezentacyjną — mieć za zadanie reprezentowanie Związku wobec władz powiatowej administracji ogólnej, z natury rzeczy musiała wnikać w miejscowe stosunki i starać się o taką lub inną ich zmianę, o takie lub inne ich ukształtowanie się.

Wszystko to wymagało reorganizacji Związku w kierunku decentralizacji jego organów, a to tembardziej, że tworzenie Zarządu Związku na podstawie § 15 pierwszego statutu ze wzrostem liczby towarzystw związkowych zaczęło nastręczać poważne trudności i zmieniało Zarząd Związku w niepomier-

nie wielkie pod względem liczby członków ciało, już przez swą liczebność niezdolne do jakiejkolwiek pracy. Dość powiedzieć, że liczba członków Zarządu Związku, z początkowo ustalonej w pierwszym statucie 15-stu, w obecnych stosunkach musiałaby wynosić przeszło 120 osób. Prócz tego punkt ciężkości działalności Związku z reprezentacyjnej, powołanej do uzyskania pierwszego polskiego prawa łowieckiego, począł przenosić się, z uzyskaniem tego prawa, na organizacyjną — na stworzenie silnej organizacji, zdolnej objąć wszystkich myśliwych polskich i sprostać tym zadaniom, które przed łowiectwem polskiem poczęły się wyłaniać.

Toteż w październiku 1929 roku, a więc w niespełna dwa lata po ukazaniu się nowego prawa łowieckiego, zostaje zatwierdzony nowy statut Związku, wykazujący w porównaniu z poprzednim daleko idące zmiany i rozwój. Po raz pierwszy statut Związku umożliwia przystąpienie do Związku pojedyńczym osobom, narazie w charakterze członków popierających, zostaje zmieniony i ustalony skład Zarządu Związku, przyczem zostaje poniechaną myśl, aby w Zarządzie Związku każde stowarzyszenie miało swego przedstawiciela, występują zręby przyszłej decentralizacji przez utworzenie oddziałów Związku, wreszcie instytucja delegatów powiatowych i wojewódzkich zostaje statutowo unormowaną.



Karol ks. Radziwiłł studjuje plan polowania. Fot. A. Piasecki.

Ten statut ulega dalszemu uzupełnieniu pod względem organizacyjnym przez wprowadzenie instytucji sądów łowieckich. Niemniej i tak przerobiony statut nosił charakter przejściowy i wyraźnego dualizmu. Przestał być statutem Związku, jako instytucji reprezentacyjnej, lecz nie stał się statutem Związku, pojętego, jako organizacja myśliwych polskich. Było to koniecznością, bo do stworzenia jednolitej organizacji myśliwych stosunki jeszcze nie dojrzały. Sieć delegatów powiatowych wykazywała zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym poważne braki, przeprowadzenia decentralizacji organizacyjnej Związku nie było na kim oprzeć poza istniejącemi już w niektórych dzielnicach organizacjami ideowemi. Pozatem zaczęły się coraz wyraźniej ujawniać braki nowego prawa łowieckiego i konieczność skierowania energji Zarządu Związku na nowe jego opracowanie i przeprowadzenie daleko idących zmian.

Niezależnie od tego, w miarę rozrastających się zadań Związku, stawała się coraz bardziej aktualną— i to nie tylko u nas — potrzeba zorganizowania świata łowieckiego na podstawie ustawowych postanowień, wprowadzenia w tej czy innej drodze przymusu organizacyjnego. Kwestję tę rozwiązywał opracowany z nakładem wielkiego trudu i wszechstronnego namysłu projekt nowego prawa łowieckiego, na którego ukazanie się wciąż jeszcze oczekujemy.

Niemniej projekt ten rozwiązuje sprawę stworzenia szerszych podstaw dla Związku tylko ramowo, odsyłając całą sprawę do statutu Związku. Stała się więc aktualną kwestja wypowiedzenia się świata łowieckiego, jak sobie ten statut i przyszłą organizację łowiectwa polskiego wyobraża i jakiemi je chce widzieć. Na wypadek, gdyby projekt nowelizacji prawa łowieckiego uległ dalszemu wstrzymaniu, do przewidywania czego nie widać tymczasem, na szczęście, podstaw, należało tembardziej zorganizować nanowo łowiectwo polskie, aby pod względem organizacyjnym zbliżyć je jak najbardziej do tego stanu, w jakim chcielibyśmy je widzieć i aby stworzyć organizację, zdolną do dalszej walki o lepszą przyszłość i dalszy rozwój łowiectwa polskiego i uporania się z różnemi trudnościami i niebezpieczeństwami, które na drodze do tego rozwoju powstają.

Niebezpieczeństwa tu są niemałe. Wskazywanie ich nie jest zadaniem niniejszego artykułu i zaprowadziłoby zbyt daleko od tematu, wystarczy podkreślić ich istnienie i fakt, że tylko silnie i dobrze zorganizowane łowiectwo polskie będzie w stanie się z niemi uporać. Potrzeba silnej organizacji łowieckiej jest oczywistą dla każdego, kto ma odczucie obecnej sytuacji i potrafi patrzeć w przyszłość. Pod tym względem nie jesteśmy zresztą odosobnieni i potrzeba ta jest odczuwaną we wszystkich państwach Europy dzisiejszej, z których niektóre już obecnie posiadają znakomite organizacje łowieckie.

Potrzeba więc reorganizacji Związku i stworzenia z niego organizacji zdolnej do pracy na terenie, do czego w obecnym stanie organizacyjnym nie jest przystosowany, istnieje i ona to stała się bezpośrednim bodźcem do podjęcia prac nad nowym statutem Związku. Ci, którzy tę pracę na terenie w obecnych warunkach usiłowali podejmować, zdają sobie najlepiej sprawę, jak trudno w obecnych ramach i formach organizacyjnych coś zrobić.

Projekt statutu nie jest oparty na żadnych wzorach. On tylko usystematyzował i konsekwentnie rozwinął te formy organizacyjne, które do pewnego stopnia samoczynnie począł tworzyć świat łowiecki polski. Śmiały w decyzjach, starał się on zachować równocześnie wszystko to, co wykazało żywotność i te lub inne walory. Niemniej projekt bardzo radykalnie zmienia dotychczasowe zasady organizacyjne. Niema w nim nic z dotychczasowej dwoistości, ani też z tymczasowości. I choć niewątpliwie z biegiem czasu wypadnie w nim to i owo zmienić, to jednak podstawowa struktura przez długi czas prawdopodobnie pozostanie niezmienioną. W konstrukcji projektu w jak najbardziej zdecydowany sposób przeprowadzony jest moment organizacyjny, a nie reprezentacyjny. Związek, zorganizowany na podstawie projektowanego statutu, przestanie być tą luźną organizacją, jaką był dotychczas. Również w zdecydowany sposób przeprowadzony jest w projekcie moment decentralizacji. To są ogólne zasady przeprowadzone w projekcie.

Przechodząc do poszczególnych zasad, należy przedewszystkiem podkreślić, że Związek jest pojęty jako organizacja osób, a nie stowarzyszeń. Doceniając należycie rolę, jaką odegrały stowarzyszenia w dotychczasowym rozwoju Związku, projekt, w związku z odsunięciem zasady reprezentacji na drugi plan, wyznacza główną rolę stowarzyszeniom nie w tworzeniu naczelnych komórek organizacyjnych Związku, a w organizowaniu podstawowej komórki, jaką jest organizacja powiatowa. W tej organizacji stowarzyszenia mają uprzywilejowane stanowisko, mają bowiem prawo wysyłania na walne zgromadzenia powiatowe tych powiatów, w których posiadają swoje tereny łowieckie, swych przedstawicieli, reprezentujących tyle głosów, ile dane stowarzyszenie ma członków zwyczajnych w swem gronie. Natomiast o stowarzyszeniach t. zw. ideowych projekt statutu milczy. Związek sam jest jedynem i obejmującem wszystkie zagadnienia, związane z łowiectwem, stowarzyszeniem ideowem; dzięki bardzo daleko posuniętej decentralizacji, dającej aż nadto pola dla wszelkich

poczynań i ujścia dla wszelkiej ożywionej dobrą wolą energji. Nie potrzebuje on w swej działalności ani pomocników, ani konkurentów. W rozumieniu projektu statutu kto chce pracować ideowo dla łowiectwa — znajdzie aż nadto pola w ramach organizacyjnych Związku. Wszelkie zaś rozpraszanie energji na zbędne tarcia uważane jest za szkodliwe.

Szukając oparcia w osobach fizycznych, a nie jak dotychczas w stowarzyszeniach, w przekonaniu, że na dotychczasowej drodze dalszy rozwój Związku nie jest możliwy, projekt rozróżnia dwie kategorje członków — tych, którzy wykazali już posiadanie należytej kultury myśliwskiej i zrozumienia dla społecznego znaczenia łowiectwa, a także chęć do pracy i ofiar na tem polu — i tym daje miano członków zwyczajnych Związku, wyposażonych w prawo głosu na zebraniach i w bierne i czynne prawo wyborcze do władz Związku; oraz tych, którzy jeszcze się pod względem osobistych walorów nie wykazali i tym daje miano członków nadzwyczajnych, pozbawionych prawa głosu na zebraniach i czynnego i biernego prawa wyborczego. Dla członków zwyczajnych ustanowiona jest wyższa składka, dla nadzwyczajnych — niższa. Stowarzyszenia wolne są od jakichkolwiek składek, natomiast obowiązane są współdziałać ze Związkiem w ich ściągnięciu i nie mogą przyjmować do swego grona osób, nie będących członkami Związku.

Sama organizacja Związku jest ściśle przystosowana do organizacji administracyjnej państwa. Oddziały Związku mają być tworzone na każde województwo i tylko w wyjątkowych wypadkach, dla tych czy innych poważnych względów, oddział Związku może obejmować kilka województw. Jako naczelne władze Związku istnieją Walne Zebranie Związku, Prezes Związku, Naczelna Rada Łowiecka. Komitet Wykonawczy nie jest władzą, jest on powołany jedynie do przygotowywania operatów dla Naczelnej Rady Łowieckiej i wykonywania jej zleceń. Naczelna Rada Łowiecka załatwia wszystkie mające ogólny charakter sprawy Związku, nadzoruje i koordynuje działalność oddziałów, przyczem uprawnienia jej są w tym kierunku znacznie rozszerzone w porównaniu z dotychczasowemi uprawnieniami Zarządu Związku. Znacznie rozszerzone są uprawnienia Prezesa Związku. W zwykłych warunkach przewodniczy on Naczelnej Radzie Łowieckiej, korzystając z uprawnień zwykle przysługujących prezesom, jednak gdy tylko w organizacji Związku coś zaczyna szwankować i przestaje działać normalnie, Prezes korzysta z uprawnień, dających mu możność zaprowadzenia należytego porządku. Podobnie ujęte jest stanowisko Prezesów oddziałów, a także Łowczych Powiatowych.

Właściwa normalna, codzienna działalność Związku jest całkowicie przekazana oddziałom. Pod tym względem przeprowadzona jest całkowita decentralizacja. I tutaj, analogicznie do władz naczelnych Związku, na obszarze oddziału są czynne Walne Zgromadzenia Wojewódzkie, Wojewódzka Rada Oddziałowa i jej Prezes.

Prócz załatwiania wszystkich spraw łowieckich, dotyczących oddziału, głównym zadaniem Wojewódzkiej Rady Łowieckiej jest nadzorowanie nad działalnością powiatowych organów Związku, Łowczych i Podłowczych Powiatowych i Powiatowych Rad Łowieckich.

Gros pracy na obszarze oddziału jest włożone na organy powiatowe i przedewszystkiem na najważniejszy z nich — na delegatów powiatowych, którzy otrzymują miano Łowczych i Podłowczych Powiatowych. Walne Zebrania Powiatowe, w których biorą udział przedewszystkiem wszyscy członkowie zwyczajni Związku, zamieszkali na obszarze powiatu, a także przedstawiciele stowarzyszeń i członkowie Związku, posiadający na obszarze powiatu tereny łowieckie, są tem ciałem, które daje możność Łowczemu Powiatowemu wejść w bezpośredni kontakt ze wszystkimi, którzy prowadzą gospodarkę łowiecką na obszarze danego powiatu. Brak takiego ciała w dotychczasowej organizacji Związku niewątpliwie nadzwyczajnie utrudniał delegatom Związku wejście w kontakt z myśliwymi swego powiatu i podjęcia jakiejkolwiek działalności. Do załatwiania bieżących spraw ma Łowczy Powiatowy dodane sobie ciało w postaci Powiatowej Rady Łowieckiej, której jest przewodniczącym, przyczem, licząc się z trudnościami zebrania takiej Rady, zawarowano w statucie ważny przywilej dla Łowczego Powiatowego decydowania o sprawach niezależnie od ilości obecnych członków Rady nawet w tym wypadku, gdyby nikt nie przybył na posiedzenie.

Pozatem, już zupełnie niezależnie, jest Łowczy Powiatowy komendantem przysposobienia łowieckiego, straży łowieckiej swego powiatu. Ta sprawa nie jest wyczerpująco rozwinięta w projekcie statutu. Przypuszcza się, że członkowie Związku, prowadzący gospodarkę łowiecką na obszarze powiatu, zechcą straż swoją poddać ogólnemu kierownictwu i komendzie Łowczego Powiatowego i że w ten sposób zostanie z czasem utworzona na obszarze każdego powiatu specjalna policja łowiecka. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie korzyści przyniosłaby taka organizacja dla uporania się z kłusownictwem i wszelkiemi nieporządkami łowieckiemi na obszarze powiatu.



Puszcza Rudnicka: kładki na Kiernowo. Fot. A. Piasecki.

Jak widać z powyższego, rola i znaczenie Łowczego Powiatowego są ogromne. Jest on tym bezpośrednim organem Związku na terenie, o którego decyzję względnie opinję opierają się wszystkie sprawy. Postanowienia nowego statutu Związku, a miejmy nadzieję i nowego prawa łowieckiego, stworzą dla Łowczych Powiatowych zupełnie nowe warunki pracy, które pozwolą im skuteczniej niż dotychczas borykać się z trudnościami przy zaprowadzaniu właściwych stosunków łowieckich na obszarze powiatu. Dalszy rozwój stosunków i doskonalenie się organizacji Związku rolę i znaczenie Łowczych Powiatowych będzie jeszcze podnosić.

Kończąc ten artykuł, muszę zwrócić uwagę jeszcze na przepisy przejściowe. Mają one za zadanie, aby reorganizacja Związku została przeprowadzona, nie burząc tego, co już powstało i co swą działalnością przyczyniło się do rozwoju Związku. Chodzi tu przedewszystkiem o dotychczasowe towarzystwa ideowe, pełniące obowiązki oddziałów Związku. Pozostają one na swoich placówkach i mają wdzięczne i trudne zadanie przeprowadzenia reorganizacji Związku na terenie według nowych zasad. Zakres i pole działania zostają znacznie rozszerzone. Jedyne co tracą, to swe dotychczasowe odrębne statuty, przestarzałe i niedostosowane do ogólnej organizacji Związku. Jest to jednak strata papierowa, po której nikt łez ronić nie będzie. A koniec chaosu organizacyjnego w Związku cały świat łowiecki powita niewątpliwie z wielką radością.

WALENTY GARCZYŃSKI.

„DOBRE I ZŁE"

Rubryka ta już dość dawno nie ukazała się w „Łowcu Polskim", na co wpłynął przedewszystkiem fakt, że zagadnienie łowiectwa, coraz bardziej stając się zainteresowaniem poszczególnych redakcyj czasopism niefachowych, poruszane są po większej części w całym szeregu elementarnych szczegółów, dla prawidłowych myśliwych, nadto dobrze znanych, o których w fachowem piśmie wspominać osobno nie warto — wystarczy najzupełniej niniejsze stwierdzenie, że tak jest i wyrażenie z tego powodu zadowolenia i uznania.

Doczekaliśmy się zatem czasu, w którym łowiectwo stało się tematem powszechnym i aktualnym, o którym mówi się i pisze dużo, na co niewątpliwie wpłynęło z jednej strony uświadomienie odpowiednich czynników prasowych przez ideowych przedstawicieli łowiectwa i czasopisma fachowe, z drugiej — zaktualizowanie w sferach rolniczo-wiejskich problematu gospodarczego w łowiectwie.



Gajówka w rewirze Hucisko. Fot. St. Politalski.

Niemniej wpłynęły na naszą prasę codzienną pod tym względem szanse zużytkowania polskiego łowiectwa, jako środka propagandowego, w celu powiększenia szeregu turystów zagranicznych, zwiedzających nasz kraj, a do czego walnie posłużył za punkt wyjścia zjazd Międzynarodowej Rady Łowieckiej w Warszawie z r. 1934 i sprezentowane gościom w całej wspaniałości i przepychu wschodnio-kresowe tereny na polowaniach wiosennych, które udały się gościom znakomicie.

Dzisiejsze „Dobre i złe" — tym razem podane w szacie drukarskiej „garmondowej" — pragnę poświęcić tym najważniejszym ogólnym zagadnieniom, poruszanym w prasie łowieckiej i pokrewnej (leśnej), a także codziennej, które ostatniemi czasy wypłynęły na szersze forum publiczne, będąc szczęśliwie tematami jak najbardziej z łowiectwem i jego organizacją związanemi, a przedewszystkiem jak najbardziej godnemi uwagi wszystkich hodowców łowieckich i polujących myśliwych — bez wyjątku.

Tematy te przedewszystkiem wyliczam:

1) potrzeba wprowadzenia powszechnego ubezpieczenia myśliwych od cywilnej odpowiedzialności;

2) potrzeba ubezpieczenia przez pracodawców leśników i strażników łowieckich od wypadków, wynikłych ze spotkań z napastującymi ich z bronią w ręku kłusownikami i defraudantami leśnymi;

3) konieczność wprowadzenia ustaw, zapewniających straży leśnej i łowieckiej równość szans w walce z tymi przestępcami, którzy występują coraz liczniej i agresywniej.

Pierwsze dwa tematy były od szeregu lat propagowane w najrozmaitszej formie i przez wielu autorów na łamach „Łowca Polskiego" i przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, który nawet przez dłuższy okres czasu prowadził sam agenturę ubezpieczeniową w tym dziale.

Motywy, które te zagadnienia rozwinęły i wskazały na propagowanie ubezpieczeń łowieckich wśród myśliwych i właścicieli terenów, są czytelnikom naszego pisma doskonale znane i powtarzać ich tu nie potrzeba.

Wystarczy przypomnieć raz jeszcze nieustannie rosnącą kronikę oporu kłusowników na terenie łowisk, stosowanego do organów bezpieczeństwa i ochrony wszystkich kategoryj: policji państwowej, leśników w służbie państwowej i prywatnej, straży łowieckiej, wreszcie gospodarzy i właścicieli łowisk.

Opór ten nietylko staje się coraz powszechniejszym w całem państwie, ale i wyniki jego — coraz częściej krwawe...

Wystarczy również powołać się na niepokojąco liczne i nieszczęśliwe wypadki na polowaniach, których ofiarami padają, w większym, lub mniejszym stopniu, zarówno ludzie z personelu pomocniczego polowań, jak i sami myśliwi.

Z obu tych objawów wynika jedno, że, skoro już miał miejsce tragiczny fakt śmierci, lub postrzelenia, czy okaleczenia kogośkolwiek, nieumyślny, czy też spowodowany przez złą wolę — należy szukać przeciw nim nietylko przeciwdziałania, lecz i zastosowania środków, łagodzących następstwa życiowe tych wypadków.

Nietylko więc winny tu współdziałać sądy, stosując jak najsurowsze kary na zbrodniarzy, nietylko ustawy — zabezpieczać poszkodowanych w razie konieczności leczenia, lub ich rodziny w razie ostatecznym, t. j. śmierci ofiary napaści, czy też wypadku, ale także musi być zrozumiany przez wszystkich dokładnie moralny nakaz społeczny, samorzutnie niosący pomoc ludziom pracy i obowiązku, a także pozostałym po nich rodzinom.

Nie trzeba dowodzić, że w obu wypadkach zdarzają się okoliczności życiowe, które materjalne wynagrodzenie, w formie odszkodowania czy renty, sprowadzają do minimum, albo nawet czynią je zupełnie nierealnem. **Duże też zastrzeżenia trzeba podnieść pod tym względem co do gwarancji. wynikającej teoretycznie z ubezpieczeń społecznych, które absolutnie nie odpowiadają wymaganiom, dyktowanym przez warunki życia poszkodowanych.**

Temwięcej przeto doraźna interwencja pracodawców (wzgl. myśliwych) zapomocą rozpowszechniania ubezpieczenia prywatnego stać się powinna istotnym obowiązkiem ich sumienia.

Do tego prowadzą dwie drogi: dobrowolne opodatkowanie się stosunkowo nadzwyczaj drobnemi sumami (jednostkowemi) rocznie, lub ustawowy przymus, nakazujący takie ubezpieczenie.

Gdy społeczeństwo łowieckie samo nie uporządkuje tej przez samo życie narzucającej się konieczności, niewątpliwie nadejdzie chwila, że zagadnienie to będzie musiało wejść na drogę urzędową, skąd powinien wyjść całkowicie usprawiedliwiony przymus. Niepodobna bowiem niczem obronić faktu, że Polska nie kwapi się w tej dziedzinie stanąć na poziomie tych państw europejskich, które kulturę łowiectwa i społeczeństwa łowieckiego pod każdym względem dźwignęły znacznie wyżej, niż to się jeszcze przeciętnie spotyka gdzieindziej.

„Czas" omówił obszernie zagadnienie powszechnego ubezpieczania się myśliwych od cywilnej odpowiedzialności; „Kurjer Poranny" wystąpienie to na całej linji poparł.

„Echa leśne" w Nr. 9 z r. b. zamieściły mój o ile możności wyczerpujący artykuł na temat potrzeby ubezpieczania pracowników leśnych i łowieckich, a także konieczności wprowadzenia ustaw, gwarantujących im większe bezpieczeństwo przez zrównoważenie szans obrony w stosunku do napaści przestępców.

Warto przy tej sposobności powołać się w tem miejscu — jak i co do wielu innych zarządzeń i ustaw łowieckich, stosowanych w Niemczech — na wyjątek z przemówienia gen. H. Goeringa z dnia 20. I. 1934, cytowany w niniejszym numerze „Łowca Polskiego" przez p. Władysława Gütlera w delegackiem sprawozdaniu z Rzeszowa (str. 164). Pozwalam sobie złączyć z treścią tego przemówienia własne poglądy, wyrażone w artykule p. t. „Kłusownictwo i zbrodnia" z Nr. 13 „Łowca Polskiego" z 1935 r.

Czytaliśmy i u nas o fakcie skazania kłusownika-zbrodniarza na karę śmierci za zabójstwo policjanta, spotykamy się od czasu do czasu z zastosowaniem przez sądy za tę samą zbrodnię, popełnioną na leśnikach, lub właścicielach łowisk, kary więzienia do lat 15-stu, jednakże — musimy to wyraźnie powiedzieć— walka z kłusownictwem w Polsce jest niezmiernie ciężka i ryzykowna, g d y ż n a o g ó ł s ą d y z b y t ł a g o d n i e k a r z ą p r z e s t ę p s t w a ł o w i e c k i e, którym nie towarzyszy zabójstwo, jego usiłowanie, lub okaleczenie stróża zwierzostanów, co wywołuje coraz jaskrawsze lekceważenie prawa łowieckiego i coraz bardziej powiększa szeregi często bardzo długo bezkarnie grasujących kłusowników.

Nic też dziwnego, że w tych warunkach, przy obojętności społeczeństwa łowieckiego z jednej strony, a władz wykonawczych i sądów z drugiej, walka z kłusownictwem podejmowana jest gorliwie tylko przez jednostki o wyjątkowo wysokiem poczuciu obowiązkowości i zamiłowania dla sprawy, czy to z pośród policji państwowej, czy też z pośród straży leśnej lub łowieckiej.

A walka ta musi spotkać się z najbardziej intensywnie prowadzoną, powszechną akcją, bez czego nasze zwierzostany będą coraz bardziej narażone na ruinę.

Niniejszym zwracam się do wszystkich ideowych organizacyj łowieckich oraz do wszystkich pp. Delegatów powiatowych P. Z. S. Ł. z gorącem wezwaniem, aby zagadnienia tu podniesione zechcieli na swych zebraniach i w naradach przedyskutować, nadsyłając powzięte w tych sprawach rezolucje do Związku, z których mógłby być wydobyty *vox populi* dla ewent. przedstawienia go miarodajnym czynnikom, od których łowiectwo nasze doznaje wybitnego poparcia, a które i w danym wypadku niewątpliwie nie uczynią zawodu jego najważniejszym społecznym interesom, domagającym się szybkiego uregulowania.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

O MOICH CHARTACH.

UCIECZKA.

Z urodzenia jestem pies —
rasowa charcica.
Na łowach szybka, jak myśl —
czarna błyskawica!

Gdy odemnie chcesz uciec,
wtedy gonić muszę!
Nim z ciebie, albo z siebie
zdołam wygnać duszę...

A po biegu ty i ja
leżymy — zmęczeni.
Jesteś trupem zajęczym —
ja — psem bez tchu, na ziemi...

PRAWDA.

Lubieżność... Okrucieństwo —
w granicach psiej możności.
Gdy chwycę w pysk zwierzynę,
to chcę mieć jej — wnętrzności...

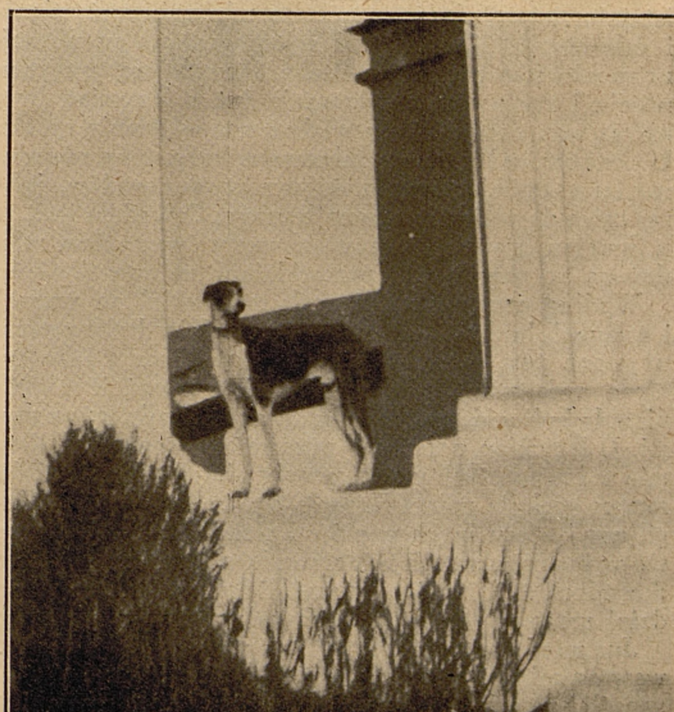
A ludzkość to maskuje
złem kłamstwem, lub — nauką.
Ja chcę być naturalną.
Psem jestem — charcią suką.

TRIO.

Pani nazywa mnie: Spryt,
a ze stali mam ciało.
Podobno ją rozumiem,
a to już jest — niemało...

W terenie idę, jak grot!
jak łuku gwizd — cięciwa!
Koniom, gdy gonią za mną
w galopie — szumi grzywa!

A potem powracamy,
szczęśliwi i zziajani....
Goniliśmy iluzję:
ja, śmierć i — moja pani.



WANDA ROJCEWICZOWA.

ŁOWIECTWO W STAROŻYTNOŚCI.

GRECJA I RZYM.

Jak we wszystkich krajach starożytnych, tak również w Grecji, jak i w Rzymie, łowiectwo było w wielkiej estymie. Istniały nawet boginie, opiekunki myśliwych: Djana-Artemis. Jej to było poświęconych wiele świątyń. Najsławniejsza swoją wspaniałością była świątynia w Efezie. Sława jej jest dwojaka. Herostrates bowiem, chcąc, by jego imię przeszło do historji, zburzył to wspaniałe dzieło, poświęcone bogini łowów. Herostrates przeszedł do historji, lecz za swe karygodne barbarzyństwo otrzymał i karę, przeklina go teraz każdy uczeń, który musi się uczyć jego nazwiska, jako niszczyciela.



Roger hr. Raczyński, Wiceminister Rolnictwa i Ref. Rolnych, na stanowisku. Fot. A. Piasecki.

O ile myślistwo w pierwszych wiekach ludzkości istniało, jako jedyny sposób do zdobycia pożywienia i odzieży, to jednak z biegiem postępu cywilizacji zatracało swą pierwotną cechę, stawało się przyjemnością i rozrywką, aż wreszcie już u Rzymian było nieraz tem, czem jest dla wielu z nas — poezją sportu. U Greków i u Rzymian traktowane były łowy, również jak i u wszystkich innych wojowniczych narodów, jako zaprawa do wojen, czego najlepszym dowodem jest, że u Spartan łowy były obowiązkowem ćwiczeniem młodzieży, co nawet było przewidziane ustawami.

Według często spotykanych malowideł na wazach i ścianach budowli, do łowów u Greków były zawsze używane psy, nietylko jako tropiące, lecz i jako goniące zwierzynę. Grecy polowali przeważnie pieszo, nielada byli więc biegaczami, by mogli nadążyć za psami. U Rzymian polowano przeważnie konno. W Rzymie w łowach tych uczestniczyły niejednokrotnie i damy, co pięknie opisał Horacy. Także Owidjusz, Wergiljusz i wielu inych poetów i pisarzy rzymskich często w pismach swych wspominają o łowach, co byłoby dowodem, że Rzymianie uważali łowiectwo za najbardziej może wartościową i zdrową rozrywką możnych.

Już wtedy uważano łowy za świetną szkołę wychowawczą młodszego pokolenia, które ćwiczyło się w ten sposób w osobistej odwadze, wytrwałości, wyrabiało sobie siłę, szybkość, łatwość orjentacji, przyzwyczajało dłoń do silnego ujęcia broni.

W Grecji spotykamy się z pierwszemi „jaskółkami" prawa łowieckiego i z czasami ochronnemi. Dowiadujemy się tego z pozwolenia myśliwym ateńskim polowania na wszystkich polach, lecz z zastrzeżeniem, by nie wybijano wszystkiej zwierzyny, g d y ż m y ś l i w y n i e j e s t r z e ź n i k i e m! (Dosłownie).

Zarówno Grecy, jak i Rzymianie używali do polowań różnego rodzaju sieci, zależnie od tego, na jaką zwierzynę polowali. Przy pędzeniach prawie zawsze używano psów myśliwskich. Jako materjał na sieci, używano len. U Rzymian niekażdy nawet len nadawał się do robienia sieci, wymagano bowiem, by był lekki, a przytem mocny. Uważano, że najlepszy len dostarczają prowincje kartagińska i toskijska. Plinjusz za najlepsze sieci uważa zrobione z lnu kumeńskiego. z którego sznur był tak cienki, że można go było przeciągnąć przez męski pierścień, a tak mocny, że utrzymywał odyńca i tak lekki, że jeden dorosły mężczyzna mógł udźwignąć całą sieć. Sieci te układane były na widełkach dwumetrowej wysokości tak lekko, że najlżejsze uderzenie w nie zwierzyny przewracało je.

Używano też nieraz sideł, zwłaszcza na ptaki i zające. Spotykamy też nieraz polowanie przy pomocy wilczych dołów, sposobem sudańskim. Łowy takie opisują Ksenofont i Pollux. Polowanie w wilczych dołach odbywało się tylko na grubszą zwierzynę, do której zaliczano jelenie, sarny i dziki.

Już wtedy jednak uważano, że najwyższą klasą łowów są łowy wręcz. Jako broni w tych ostatnich, używano oszczepów, strzał i noży. Oszczepów odróżniano dwa rodzaje: jeden do rzucania — rodzaj dzirytu — i drugi — oszczep myśliwski o szerokiem ostrzu, aby rany nim zadawane były jak największe. Za ostrzem zrobione były dwie zadziory. Były jeszcze i oszczepy bez tych zadzior, gdy chodziło o zadawanie kilku razów, po sobie następujących. Drzewca do oszczepów robione były z drzewa jesionowego, wiśniowego, lub też z mirtu cypryjskiego i bukszpanu. Najczęściej każdy myśliwy miał przy sobie dwa dziryty. Używano też często strzał, nie znajdujemy jednak nigdzie śladu, by strzały były zatruwane. Nóż służył do dobijania i patroszenia, miał kształt lekko wygięty, w celu lepszego ujęcia. Spotykamy też czasem w opisach fakt używania bumerangów, według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa drzewce to służyło u Rzymian i Greków raczej do noszenia ubitej zwierzyny, niż do jej zabijania. Praktykowano też często polowania z fladrami, do których używano piór gęsi, kur i kaczek domowych. Odstraszały one nietylko jaskrawemi barwami, lecz smarowane były także jakimś preparatem, od którego zwierzyna stroniła. Ulubionym też sposobem polowania były łowy z procą, do której używano ołowianych pocisków.

Psy myśliwskie traktowano, jako towarzyszów, którym należy się część zdobyczy. Jak wysoko ceniono przyjaźń psa, widać z częstych eposów, np. u Homera w Odyssei. Autor rozczula się nad starym psem myśliwskim, Argosem, który, mimo iż był zupełnie wskutek starości pozbawiony sił, gdy wrócił jego pan do domu, poznał go, zwlókł się z posłania, by go powitać. Potem dopiero na rękach pana dokończył swego żywota. Psy myśliwskie przywieźli Rzymianie z Egiptu i Brytanji. Pierwsze stanowiły materjał gończy, wyglądem przypominały psy domowe, lecz szybkość i wspaniały węch predystynowały je na gończaki. Psy celtyckie, używane na zające, podobne były do naszych chartów. Ksenofont w swoich pismach rozróżnia wiele gatunków psów, między innemi mieszańca psa z lisem. Ze słów tego autora dowiadujemy się również o istnieniu na wschodzie rasy, wytworzonej przez krzyżówkę psa z tygrysem. Oczywiście, że Ksenofont popełnił tu omyłkę, lub też poniosła go fanta-

zja poetycka, gdyż było i jest niemożliwem łączenie tygrysa z psem domowym. Prawdopodobnie mowa tu o owczarkach tybetańskich, bardzo silnych, gęstym, długim włosem porośniętych psach, mylnie jeszcze nieraz dziś dogami tybetańskiemi zwanych. Są one raczej podobne do psów rasy bernardyńskiej, lecz ciemno ubarwione.

Prócz tych psów znane też były i tropowce. Używano ich nietylko na zające, dziki i jelenie, lecz służyły też do odnajdywania ranionej zwierzyny.

Konia myśliwskiego znano bardzo dobrze u Rzymian; najlepszemi były rasy illyryjskiej i sycylijskiej dla wielkiej wytrzymałości. Chętnie też brano konie rasy hiszpańskiej, północno afrykańskiej i libijskiej. Te ostatnie dwie rasy koni były tembardziej poszukiwane, że można było na nich jeździć bez potrzeby trzymania w rękach wodzy. Od konia myśliwskiego wymagał Rzymianin następujących cech budowy: szerokiej piersi, silnych lędźwi, cienkiej i suchej goleni, oraz wysokiego kopyta. Najbardziej pożądanemi były konie ciemno umaszczone, gdyż uważano je za najroztropniejsze i najodważniejsze.

Strój myśliwski stanowiła krótka tunika bez rękawów. Prawe ramię i część piersi były odsłonięte, aby łatwiej można było władać bronią. Podczas chłodu zarzucano wełnianą togę. Na głowie noszono rodzaj kapelusza, który był spięty pod szyją. Kapelusz taki posiadał daszek, chroniący oczy przed ostremi promieniami słońca. Przy polowaniach na dziki przypinano do nóg metalowe nagolenniki. Przy pasie wisiał w pochwie nóż myśliwski, a w ręku przeważnie miał myśliwy dwa dziryty do rzucania. Niewolnik często nosił za łowcem oszczep z zadziorami.

Już we wczesnych czasach znany był u Rzymian nieoficjalny wprawdzie urząd łowczego, którego obowiązkiem było starać się o nagankę, postawienie sieci, prowadzenie psów i t. d. Kandydat na łowczego musiał się wykazać specjalną siłą, odwagą i roztropnością, jego bowiem obowiązkiem było pomódz w razie niebezpieczeństwa zagrożonemu panu.

W Rzymie polowano przeważnie rankami w jesieni i na wiosnę, w lecie podczas przedświtu, w zimie w południe. Rzymianie najchętniej polowali na jesieni w większem towarzystwie. Łowy te odbywały się zwykle z wielkim przepychem i wielką ilością naganki. Często jednak z powodu nieudawania się ich bywały potem wyszydzane przez poetów. Jak u Greków, tak i u Rzymian nie zwracano uwagi na okresy rui i noszenie płodu. Nieznany też był zwyczaj szanowania cudzego pola. Polowano wszędzie, jedynie w niedalekiej odległości od świątyń i świętych źródeł prawo zwyczajowe zabraniało urządzania wielkich obław.

Wspaniały rzut oka na metody polowań przedstawia nam Seneka. Pisze on tak:

„Wstawać! Obstawcie cieniste lasy i wierzchołki gór. Prędko, uskrzydlonym krokiem przeszukajcie skalisty Panes. Zdobędźcie wierzchołek, gdzie połyskuje w słońcu śnieg. Tam, gdzie cicho płynie Ilissus, gdzie na lewo rozbłyska w słońcu dolina maratońska, gdzie na noc przychodzi zwierzyna na żer. Już dawno tam nie polowano, już dawno nie postała tam stopa myśliwca. Kto chce zdobyć sławę, niech idzie potykać się ze znanym odyńcem, który sieje postrach od wielu lat.

Wstańcie, otwórzcie pyski milczącym psom, ale trzymajcie je na smyczy. Nadejdzie czas, kiedy znów zabrzmi jazgot psów, wtedy puśćcie je wolno, niech pomkną śladem.

Myśliwi niech rozstawią sieci, zamknąć niemi całą przestrzeń, ofladrować boki, niech jaskrawe pióra flader zadrżą na wietrze i niech sieją strach wśród zwierza.

Ty, myśliwcze, masz iść z oszczepem, ty z lewa i z prawa z ciężką jesionową lancą o szerokiem ostrzu. Ty masz się schować, by niespodziewanym krzykiem przestraszyć zwierza, a ty przygotuj nóż swój, by wypatroszyć odyńca.

Naprzód! Stoi przy tobie bogini łowów, od której strzałów ginie zwierz wszelki, którego pragnienie przy śmierci gaszą krople zimnego Araxesu, któremu cicho Ister gra na harfie. Wnet położysz szybkiego daniela, poczujesz siłę lwa w twem ramieniu.

Tobie, o bogini, należą się piękne tygrysy, długowłose byki, wszystko, co żyje w biednej ziemi Garamantów, co żyje w bogatej Arabji, na wierzchołkach Pirenejów, w jaskiniach Hyrkantu — wszystko boi się twoich myśliwców.

Kto dla ciebie przybył do lasu, o bogini, temu sieci przytrzymają zwierzę wszelkie. Wóz jego skrzypi w powrotnej drodze pod ciężarem zdobyczy, psy jego pyski mają okrwawione, on sam zaś wraca w tryumfie do domu.

Naprzód! Bogini, daj znak swej łaski, już słyszę jazgot psów, śpieszę do lasu". (Tłomaczenie wolne).

Trudno jest bardziej żywo opisać ochotę myśliwską.



Inż. St. Kopczyński z dzikiem, ubitym w Skomorochach.
Fot. E. Świeykowski.

Wiemy z późniejszych badań nad wędrówkami ptaków, że główne drogi tych wędrówek prowadzą przez Grecję i Włochy. Już w starożytności zaobserwowano te wędrówki i zwrócono na nie uwagę z punktu widzenia myśliwskiego. Niestety tradycja przekazała do dziś ten nieszlachetny sposób polowania, dopiero dosłownie ostatnie cztery lata wykazały pewną poprawę w tym kierunku. Zakazano bowiem tępić niemiłosiernie ptactwo podczas przelotów. Zatrzymują się wtedy nieprzeliczone masy ptaków w lasach, na wydmach piaszczystych, wszędzie. Zwyczaj zabijania ptactwa podczas przelotów przechował się od najdawniejszych czasów i datuje się jeszcze z okresów starożytnych.

Starożytni polowali na ptactwo podczas przelotu temi samemi metodami, których używa się dziś na południu, t. j. zapomocą pałek, sideł, sieci. Używano też często światło. W tym celu wybierano się w nocy łódką na morze, gdzie spały całe masy ptactwa wodnego, podjeżdżano je bez szmeru i dopiero z bliskiej odległości rażono je światłem. Oślepione ptaki nie okazy-

wały najmniejszej trwogi. Wtedy gaszono raptownie światło, a myśliwy zarzucał sieci.

Polowanie z sokołami znane było również w Rzymie i w Grecji. Używano jednak ptaka łowczego jako postrachu zwierzyny. Sadzano go zwykle na wierzchołku drzewa, skąd samym swoim widokiem tak przestraszał inne ptaki, że je łatwo nakrywano sieciami. Szlachetne zaś łowy z ptakami łowczemi były Grekom i Rzymianom nieznane. W polowaniach na ptaki nie uznawano zupełnie procy, ani nie strzelano do nich z łuków.

W Rzymie znane były oprócz jeleni i daniele, na które polowano przeważnie przy pomocy sieci. Na jelenie i daniele polowano również z oszczepem, dzirytem, lub z psami.

Naogół starożytni nie byli myśliwymi w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, najulubieńszą ich zabawą było, gdy znaleziono młode jakiegoś gatunku, zmuszać je wtedy do wydawania głosu, podczas gdy myśliwy, ukryty w gąszczu, czekał, by matka zbliżyła się na głos swego dziecka. Opowiada o tem Ksenofont i barwnie opisuje takie sceny.

Jako jednak najwyższą klasę polowania, uważano łowy na dziki. Polowano na nie zwykle w towarzystwie większej ilości ludzi i przy pomocy silnych psów. W tym celu obstawiano wszystkie możliwe przesmyki sieciami, cicho podprowadzano na trop psy. Myśliwi ukryci czekali na zbliżenie się dzika, w którego najpierw rzucali dzirytem, potem dobijali oszczepem. Byli wprawdzie i tacy śmiałkowie, którzy rzucali się z gołemi rękami na odyńca, chwytali za nogę, przewracali i skłuwali dopiero wtedy nożem.

Lwy istniały tylko w Grecji, ale w bardzo niewielkiej ilości. Zato i Grecja i Rzym obfitowały w wilki, które były postrachem pasterzy. Wilki ubijano przeważnie z łuków, lub też łapano w wilcze doły, nieraz też używano trutek.

Na lwy polowano również, lecz były to lwy specjalnie sprowadzane. do zwierzyńców. Dowodem, iż takie łowy się odbywały, jest płaskorzeźba na grobie Owidjusza Nasona. Polowania na lwy w zwierzyńcach dały początek późniejszym krwawym igrzyskom rzymskim, w których wykazała się cała brutalność starożytnych, ich chęć mordu i upajającego widoku walki.

Do pism jednak rzymskich czy greckich musimy się odnosić z pewnym sceptycyzmem, zwłaszcza jeśli chodzi o łowy i opisy zwierząt. Fantazja poetycka ponosiła niejednokrotnie wieszczów. Nieznajomość zoologji również przyczyniała się do powstania pewnych niedokładności, które zaciemniały przedmiot. Niemniej jednak są to już wiadomości, poparte dokumentami, z których można część prawdy wyłowić. I ta prawda, zbadana jeszcze raz przez dzisiejszych uczonych, stworzyła historję.

Mimo, iż my, dzisiejsi myśliwi, niemal pod wszystkiemi względami nie zgadzamy się ze starożytnymi w zrozumieniu klasowego, szlachetnego łowiectwa, niemniej przyznać musimy, że właśnie oni byli pierwszymi, którzy zaczęli pojmować polowanie, nietylko jako formę zdobywania pożywienia, lecz też jako szlachetne zajęcie, pasję, silniejszą ponad wszystko. Tkwi to w nas do dziś i tkwić będzie tak długo, jak długo będzie istniał człowiek.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

Dlaczego...

Dziwnem się wydaje to, że wszystkie panie
umilać myśliwym lubią polowanie.

Na kaczki — rozumiem (przez miłość przyrody)
z myśliwym brnąć w błocie, nawet wejść do wody.

Emocja, pra-żądza, pra-instynkt się budzi,
Marsz przez podorywki wcale jej nie trudzi.

Spadnie kura — wyrok radośnie ogłasza,
ktokolwiek zestrzeli, krzyczy się, że „nasza".

Kręci się, szczebiocze i nadstawia ręce,
by Nemrod w nie chuchał w rozkosznej podzięce.

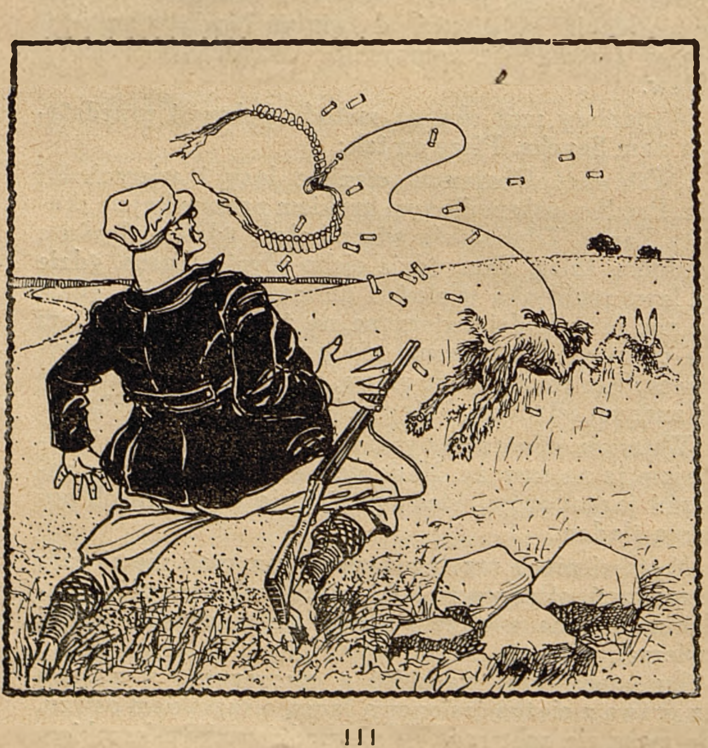
Dziki przeszły bokiem... Do czego to zmierza?
Myśliwy wpadł w sidła — nie ustrzelił zwierza.

MARJA MAZURKIEWICZÓWNA.

HUMOR MYŚLIWSKI.



Przyczepmy psa do pasa, żeby nie pogonił...



!!!



W wodnych kniejach poleskich. Fot. S. W.

„R A S".

Posłaniec z kniei w postołach, zjawiający się jak duch, przyniósł mi wiadomość od naszych sąsiadów, że piękna „Diana" ma szczeniaki, a że jeden był przeznaczony dla mnie, należało przezwyciężyć trudność wielką dostarczenia go. Roztopy na Polesiu to poważna przeszkoda! Postanowiono więc, że ponieważ mały setter-gordon nie może przyjechać, przypłynie łódką, która, jak wąż, potrafi się przemykać pomiędzy kępami błotnemi, sitowiem i nadbrzeżną łozą.

Przyjechał w małym woreczku, z którego wystawała tylko czarna rasowa główka o smutnych, złotych oczach, od wilgoci i drogi sierść na uszach poskręcała się, jak jedwab, w pasma i pierścienie.

Długą smugą spojrzenia ogarnął wszystko: rzeczkę, dymiącą porannemi oparami, nadbrzeżne poplątane zarośla i wreszcie grupkę ludzi, oczekującą na brzegu. I oto poczuł lęk przed nieznanem, czarna, podpalana mordka wysunęła się naprzód, zmarszczyły się wargi i raptem rozległo się szczeknięcie tak nieudane, że chyba — pierwsze w życiu. Po tym wyczynie „dzielny wojownik" zaczął drżeć, trzęsła się mała niemowlęca bródka, oczy mrugały, jakby oślepione nadmiernym blaskiem i nagle zobaczyliśmy różową podszewkę pyska z czarnemi plamami na podniebieniu i parę rozczulających małych szpileczek, wbitych w miąższ szczęk. Mały infant ziewał znudzenie szeroko, jak taki, co ma czas — od ucha do ucha. Takie było nasze powitanie.

Mały „Ras", bo tak go nazwaliśmy na cześć starego rodu, z którego pochodził, odrazu został przyjęty do naszej rodziny, a wykazywał z przyrodzenia tyle dobrych manjer i dystynkcji, że naprawdę wychowanie jego mało nastręczało trudności.

Jedna rzecz mu się tylko nie podobała, to jedzenie: od kaszki manny, ocukrzonej, gotowanej na mleku, odwracał się ze wstrętem. Nie miał w sobie nic z małego szczeniaka żarłoka, który po jedzeniu ledwo chodzi i robi się szerszy, niż jest długi. Ale rada znalazła się sama. Oto któregoś dnia Ras powędrował ze mną do obory — pachniało mlekiem i ciepłem macierzyństwem. Prawie wszystkie krowy były po ocieleniu, pierwsza w szeregu „Wiśniocha", mała poleska krówka, karmiła właśnie swego pierworodnego, który przyssany do miękkich wymion, z gwałtownemi podrzutami głowy, opryskany aż po uszy mlekiem, dopijał swą codzienną porcję. I oto stała się rzecz dziwna. Ras wciągnął nosem woń mleka i westchnął z głębi piersi. W tej chwili Wiśniocha, zmęczona karmieniem, położyła się na ziemi. Ras pomalutku posuwał się naprzód; na spotkanie wyszedł mu rudo-łaciasty cielak. Stanęli naprzeciw siebie, lakierowany pysk, pachnący mlekiem, wyciągnął się w stronę czarnej mordki. I oto Ras, dystyngowany Ras, zachłannie przejechał językiem po nosie i pysku cielaka, mokrym od mleka i śliny.

Wiśniocha patrzyła na to oczami zdziwionemi i łagodnemi, nie ruszyła się nawet, gdy Ras przybliżył się do niej, tylko głowę zwróciła nieco bardziej w jego stronę ruchem dostojnym i pełnym zadumy, nie przestając przeżuwać.

Ras przywarował, a potem, wyciągając jak najdalej język, polizał ostrożnie zamszowe wymię, na którem perliło się mleko. Odtąd Ras znalazł sobie karmicielkę. Razem z cielakiem stanowili dobraną parę żarłoków, spijających ze znawstwem białe mleko Wiśniochy. A ona, jak dobra matka, nie szczędziła im pieszczot, liżąc jednakowo czule swym szorstkim językiem ła-

ciaty grzbiet syna i czarny, jak smoła, jedwab sierści Rasa.

Tak przeszła wiosna, lato, a potem nawet jesienią można było zobaczyć pędzącego na pastwisko Rasa. Wśród całego stada krów odnajdywał natychmiast Wiśniochę, która niezmiennie darzyła go wielką miłością, pieszcząc jak dawniej. A Ras spoważniał, znikła niemowlęca niezdarność i dysproporcja łap w stosunku do tułowia, umiał już chodzić za nogą i zaczął w domu naukę z panem.



„Ras". Fot. dr. A. Kelus.

Codziennie odbywały się lekcje — obserwowałam je przez uchylone drzwi. Ras nauczył się siadać, gdy pan wznosił rękę, trzymając coś dobrego; robił to potem z ochotą, wiedząc, że nie minie go nagroda, zaczął też warować do kawałka chleba; czasami tylko niecierpliwił się i wstawał, wtedy pan jego wołał: „down", a gdy i to nie skutkowało, dostawał lekkiego klapsa jedną ręką, a drugą był przyciskany do ziemi; robił się wtedy bardzo zawstydzony i smutny. Zaczął też rozumieć, co znaczy słowo „szukaj" i z dnia na dzień miał coraz trudniejsze zadania. Nie trzeba mu już było wskazywać miejsca schowania, sam je odnajdywał i w nagrodę zjadał smakołyki.

Na wiosnę zaczęła się nauka na dobre, na terenie. Ras chodził codziennie, z panem na spacer. Las, pola i łąka były dla niego szkołą. Chcąc widać wykazać swe zdolności, robił też samorzutnie nieco chwiejne stójki do kur i żab w ogrodzie. Pan i pies byli niestrudzeni, by przygotować się do wspólnych polowań w lesie i na błotach. Ras miał coraz to trudniejsze ćwiczenia, toteż wkrótce, szukając, robił to z coraz to większem znawstwem, zataczając koła. Różne smakołyki były przywiązywane na sznurku, a potem ciągnione po ziemi; by przyzwyczaić Rasa do tropienia zwierzyny; po znalezieniu ich nauczył się robić stójki z wytrzymaniem i brał je dopiero na rozkaz: pyf!

Z dnia na dzień Ras zdradzał coraz to większą doskonałość w swym kunszcie.

Od czasu do czasu, gdy już okazywał znużenie i roztargnienie w nauce, przerywano ją, by po paru dniach powrócić do niej ze zdwojoną energją.

Tak się złożyło, że Ras miał aż dwóch właścicieli: mego brata i mnie. Ścisły był też prawdopodobnie w jego myśli podział władzy: polowanie należało do pana, dom do pani. Na polowaniu, lub spacerze nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, mogłam nie wiem jak krzyczeć — nawet się nie odwrócił, ale zato w domu wymagał ciągłych pieszczot. Ile razy opierał mi swój czarny łeb na kolanach, na białej sukni, przychodziło mi na myśl, że wygląda, jak połyskliwy, żywem srebrem mieniący się olbrzymi kleks na śnieżnej bibule. Ręka wyciągała się, jakby w obronie przed tą czarnością, ale, napotkawszy jedwab jego głowy, pozostawała na niej, rozkoszując się doskonałą czarnością, połyskiem i ciepłem. Był to jakby cichy pakt, zawarty między nami, że może przychodzić tak zawsze, a kolana moje są poto, by opierał na nich swą piękną głowę z jedwabnemi uszami, podbitemi szarym zamszem, przechodzącym u nasady w rudy cień. A oczy pod dotknięciem mrużyły się leniwie, by za chwilę rozbłysnąć złotem lipcowego miodu.

Kto królował w jego sercu? Myślę, że i tam był ścisły podział uczucia, wolałam się więc nad tem nie zastanawiać.

Już na pierwszych polowaniach okazał Ras, że ma węch znakomity, przydała mu się też zaprawa łowiecka i pierwsze trudy układania.

Stawał wyciągnięty, jak struna, przed świeżym tropem, by potem krętemi łukami obcinać ścieżki cietrzewi. Porywały się szare stadka z cieciorką, raz piękny stary kogut przeleciał mu tuż nad głową, innym znów razem spłoszył młodego wyfarbowanego koguta głuszca, który podleciał i siadł nisko na drzewie, przyglądając się stamtąd psu, wyciągnąwszy szyję. Poznał się też Ras wkrótce z różnemi odmianami ptactwa błotnego; robił stójki do leniwo porywających się z charakterystycznem furknięciem tłustych dubeltów, to do kszyków, wylatujących ostro i szybko, krętym zygzakiem. Trafiały się też i niespodzianki: to jakiś ptak się porwał, to derkacz pomykał szybko piechotą przez gęstwinę, każąc mu rzucać się i biegać we wszystkie strony.

Późną jesienią, będąc już w wieku dojrzałym, Ras zrobił się nieposłuszny, począł znikać. Ślady jego zaprowadziły do leśniczówki, gdzie mieszkała urocza „Lady"— do niej to odbywał Ras codzienne wędrówki przez knieję. Nie pomogły kary cielesne i przywiązywanie. Widocznie coś kombinował w swej głowie i uknuł plan. Zjawił się któregoś dnia zziajany i obłocony, ale nie sam — uprowadził z leśniczówki swą wybraną, piękną, rudą setterkę.

Cóż mieliśmy robić — musieliśmy się zgodzić na to małżeństwo Rasa i przyjąć gościnnie nowe stadło.

Gdy rodzina się powiększyła, Ras okazał wprost niebywałą czułość rodzicielską, zupełnie niespotykaną u psów. Gdy Lady odchodziła od swych dzieci, on zajmował jej miejsce, jak najczulsza piastunka. Może na rozwinięcie jego uczuć rodzicielskich wpłynęło to, że w młodości miał dwie matki, może pieszczotom Wiśniochy zawdzięczał, że potrafi kochać swoje podpalane, małe, czarne, jak skrzydła kruka, szczeniaki.

ZOFJA KELUS-LIPKOWSKA.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na rok 1936, na I półrocze, na II kwartał, lub na miesiąc kwiecień.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. **Administracja.**



Z wigilijnego polowania w Chrząstowie. Fot. A. Piasecki.

O MARCINKU KŁUSOWNIKU.

Miejsce urodzenia naszego Marcinka — wioska Majdan — leży wśród głuszy lasów ordynackich. Lasy te po dziś dzień ciągną się tu bez końca, gdzieniegdzie tylko odsłaniając większe polany, wytrzebione pustacie, wijące się dolinami bagniste łączki, lub skąpe a nieurodzajne płachetki uprawnych zagonów. Kryte dranicą lub gontem, chaty stały rozmieszczone na przestrzeni kilku wiorst wzdłuż zrzadka uczęszczanego, wyboistego gościńca. Nie było tu ani kościoła, ani szkoły — rzadkie i spóźnione wieści docierały z szerokiego świata i ludziska żyli w ciemnocie, jak przed wiekami i — nawiasem mówiąc — w grzechu, bo żyli z kradzieży ordynackiego drzewa.

W odwiecznej karczmie, która rozsiadła się, niby strażnica, na wzgórku, przy samym wjeździe do Majdanu — gnieździło się kilka rodzin żydowskich pod wodzą patrjarchy i założyciela rodu, stuletniego niemal Froima Mendla. Jego synowie i zięciowie zgodnie handlowali tem wszystkiem, co las daje... nocą, a chłopi zwali ich w czambuł „Mendlami", dodając w miarę potrzeby bliższe określenie, jak „kulawy, rudy, lub ten, co siedział w kryminale".

Ojciec naszego Marcinka, stary Kosmala — podobnie jak i większość mieszkańców wioski — umiał obchodzić się z toporem, siekierą lub piłą, nieobca mu była wyróbka „szweli", gontów czy klepek, podobnie jak wypalanie węgla w mielerzach, potażu, dziegciu i smoły. Zasadniczo przecież, a pod starość w zupełności, poświęcił się kłusownictwu. I z tego procederu znany był dobrze ordynackim gajowym od Kosobud aż hen, poprzez Józefów ku puszczy Zamechskiej, gdzie ongi król Batory łowy swe odprawiał.

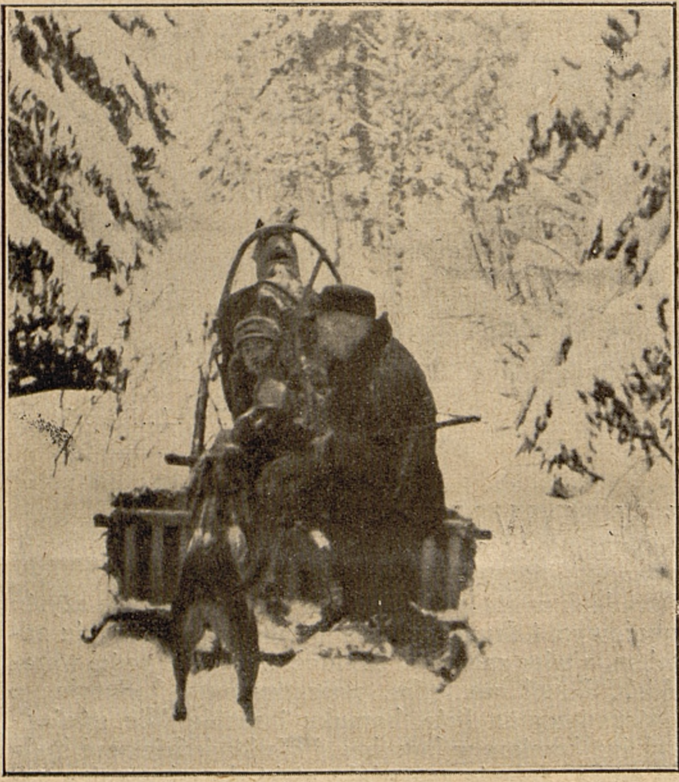
Znikał ze wsi nieraz na tydzień i więcej, wracał z łupami lub bez, wracał nieraz poszczerbiony i obdarty, a zawsze milczący i ponury. Przywarowywał wtedy na jakiś czas, przesiadując w karczmie na targach i naradach ze starym Mendlem, lub oddając się czysto pokojowym i drugorzędnym w swojem mniemaniu zajęciom, a więc zastawianiu sideł, wnyków i paści wszelakich. Łowił wszystko, począwszy od kwiczoła, a skończywszy na lisie, borsuku i sarnie. Nie uświadczył już bowiem w lasach ani niedźwiedzia, ani łosia lub wilka. Jelenie zaglądały niekiedy od granicy galicyjskiej w czasie bekowiska, ale nigdy prawie nie zapuszczały się pod Majdan. Na dziki polował niegdyś z pradziadowską rohatyną i z pieskami, ale cóż — jednego z nich ustrzelili gajowi, a drugiego pojedynek rozerwał na strzępy. Latem nie gardził rakami, wybierał z pod rzecznych kamieni resztki pstrągów i nieraz pod szabas pojawił się w karczmie z workiem dorodnych karpi, Bóg wie jakim sposobem wyłowionych w okolicznych stawach dworskich. Słowem — co tylko przebywało na wolności i cieszyło się życiem — pod warunkiem, że przedstawiało pewną wartość — stawało się łupem starego Kosmali.

Jego żona, a matka Marcinka, była to wątła, zahukana i zapracowana kobiecina. Sama uprawiała przy pomocy starej siwej kobyłki dwumorgowy sapowaty kawałek pola, sama żęła i zbierała skąpe plony: ot, trochę owsa, ziemniaków i kapusty — i to o ile rok nadarzył się suchszy.

Jedynak Marcinek rósł sobie, jak tylu jego rówieśników, bez żadnych przeszkód wprawdzie, ale i bez nadzoru i bliższej opieki. Setkę razy mógł sobie złamać kark, spadłszy z dzikiej gruszy lub czereśni, setkę razy mógł się utopić w leśnych jeziorkach, lub w trzęsawiskach, dokąd zapędzał się w poszukiwaniu jaj czajczych lub kaczych. Wierzgały go i deptały konie na pastwiskach, bodły go krowy, kąsały psy i raz nawet ścięte drzewo nakryło go konarami, gdy podkradł się do drwali na karczunek. Ale z tych opresyj wychodził Marcinek zwycięsko i zdrowo.

Matka — jak to matka — załamuje ręce, wymyśla od huncwotów i skarań bożych, nażali się przed sąsiadkami, nawzdycha — i dalej się krząta po obejściu, czy w ogrodzie. Niby to pasał krowinę, zbierał jagody i grzyby, wystrugiwał z drzewa kozikiem różne cudaki, wykręcał gniazda, podbierał kwiczoły z ojcowskich sideł i badał na swój zaborczy sposób otaczającą go przyrodę.

Z ojcem spotykał się rzadko z tej prostej przyczyny, że stary, niby puhacz, budził się do swych praktyk o zmierzchu, on sam zaś narazie reprezentował dziennego ptaka — powiedzmy — kobuza. Z biegiem czasu najmilszem zajęciem Marcinka stało się śledzenie kroków ojca. Podświadome poszukiwanie autorytetu, atawistyczny pęd do rozszerzenia swych horyzontów, do zdobywania wiedzy życiowej, głód wrażeń — współdziałały tu z owym tajemniczym fluidem grozy, ponętą dalekich szlaków ojcowskich i jego nieznanych przygód.



Podjazdem na cietrzewie. Fot. inż. E. Woynicki.

W księżycowe noce wymykał się w opłotki i gnał co siły w nogach naprzełaj ku karczmie, skąd stary zazwyczaj urządzał wyprawy w śpiące lasy. Ale nic z tego. Okazało się bowiem, że stary wiedział wszystko. Niedarmo bywał tropiony przez całe oddziały gajowych. Znikał, zapadał się w ziemię, rozpływał się w mroku. może przyczajał na gałęzi, kluczył i w rezultacie zawsze znalazł się na tyłach. Dwukrotnie nastraszył Marcinka, zmuszając go do odwrotu. Niewiadomo — może pragnął swego jedynaka uchronić przed tem wszystkiem, co sam przeżył, może chciał go skierować ku innemu życiu, może w głębi jego zdziczałej duszy przebłyskiwała — niby nikłe, odległe światełko — tęsknota za czemś lepszem? Dość, że nie uczynił nic, aby wtajemniczyć Marcinka w arkana swego fachu.

Nie pomogła i kuna, której futerko zdobył dzięki niemu. Było to tak. Pewnego razu w zimie Marcinek jeszcze przed śniadaniem pobiegł ku niezbyt odległej połaci jałowców, aby spenetrować sidła, zastawione na kwiczoły. Umiejętność tę opanował był bowiem i prowadził na własną rękę. Ale kwiczoły cmokały gdzieś po lesie, natomiast dostrzegł świeżutki trop kuny. Przecięła ona jałowiec, wydostała się na duży las, odbyła krótką napowietrzną podróż, złowiła i zadławiła wiewiórkę, porzucając jej żałosne szczątki. Oto krwawią się one na bieli śnieżnej. Dostrzegł i ją samą w widłach starej osiki. Spała, zwinąwszy się w bronzowy puszysty kłębek.

Przybiegł zdyszany do chaty. Ojciec wrócił właśnie i układał się do snu.

— Tato — zbierajcie się — kuna!

Spojrzał nań nieufnie z pod nastrzępionych brwi.

— Kuna — podasz? A nie rozpaplałeś tam komu po drodze?

— Nie!

— No to poczekaj.

Wyjrzał oknem na drogę, wyszedł, pokręcił się przez chwilę koło chaty, znikł wśród zabudowań gospodarskich i po małej chwili był już z powrotem. Na plecach miał stary, obszerny szynel, czapkę na głowie i kij w ręku.

— A strzelba? — wyrwało się Marcinkowi.

— Nie twój interes — prowadź! — rzucił gniewnie.

Po drodze zatrzymał się na moment obok wiewiórki, wtłoczył ją butem w śnieg, starannie zatarł ślady mordu i mruknął:

— Weź se kij — zajdź z tamtej strony i stuknij w osikę.

Już dostrzegł kunę swym jastrzębim okiem. Gdy Marcinek wyjrzał z poza grubego pnia osiki, otworzył szeroko oczy ze zdumienia — ojciec stał bez płaszcza, z dubeltówką. Krótka była, czarna i połyskliwa, jak skrzydła kruka.

— Stuknij! — syknął.

Zaledwie osika wydała z siebie głuchy odgłos — snadź wypróchniała od rdzenia — a już kuna wyskoczyła, jak z procy i śmignęła na gałąź, nastroszywszy uszki i mignąwszy żółtem podgardlem. Tyle i żyła — rozległ się donośny huk i zwierzątko koziołkując spadło w śnieg. Jeden kolisty ruch — znikła i strzelba i kuna w fałdach płaszcza — stary, przygarbiony wędrowiec z kijaszkiem wywlókł się na drogę i poszedł ku karczmie. Wieczorem wręczył Marcinkowi ciepły szalik i parę obwarzanków — w milczeniu, jak zwykle.

Straszna była zima w tym roku Wkrótce po Wszystkich Świętych na rozmiękłą jeszcze po jesiennych roztopach ziemię jął sypać nawalny śnieg. Sypał tak z małemi przerwami cały tydzień, poczem chwyciły silne, coraz to wzmagające się mrozy. Twarda skorupa śnieżna okryła świat, a gdy na dobitkę rozpętały się zamiecie i wichury — nastały ciężkie chwile dla wszelkiej zwierzyny, o ile człowiek nie okazał jej serca i pomocy. Kuropatwy ginęły całemi stadkami — znajdywano je przytulone do siebie. stężałe na kość i zasypane śniegiem. Kaczki krzyżówki również — jak wiadomo — starają się przetrzymać zimę na rzekach i oparzeliskach.

I te wymarzły wycieńczone głodem. całemi masami ginęły sarny, zające i nawet dziki. Wrony i gawrony nocami spadały martwe z drzew, lub snuły się senne i osłabione tak, że dzieci łapały je po podwórkach. Dobrze się działo drapieżcom wszelkiego rodzaju, a więc jastrzębiom, lisom i kłusownikom. Z kresów jęły przemykać się wilki. W ciepłych, zaniesionych śniegiem chatach ludziska opowiadali sobie straszne historje o napadach wilków, opętanych wścieklizną, których ukąszenie sprowadzało śmierć niechybną.

Kosmala miał prawdziwe żniwa i zawsze powracał obładowany zdobyczą, chociaż strzelby nie brał z sobą. Bo i poco — druty, zastawione na ścieżkach wśród głębokiego śniegu, wystarczały w zupełności.

Jakoś po Trzech Królach wyruszył on po wieczerzy do lasu. Zrazu było miesięcznie i cicho, ale koło północy zerwała się zadymka. Z potępieńczym świstem przewalały się zwały śniegu, z hukiem i trzaskiem padały olbrzymy leśne pod obuchem straszliwego orkanu, przeraźliwie trzeszczały w swych wiązaniach dachy, a kilka z nich wichura zniosła do szczętu, nie mówiąc już o stogach i stertach.

Minął tydzień od owej strasznej nocy, a Kosmala nie wracał. Matka jęła się niepokoić, dopytywać, urządzać wycieczki do okolicznych wsi. Ale wszędzie ją zbywano obojętnie lub żartobliwie: — Wróci, wróci — nie pierwszyzna mu ta — a może gdzie go przytrzymali trocha...

I tak minęła zima. Późno przyszła wiosna w tej leśnej krainie. Długo bielały śniegi w ostępach, wyrwach i po zimnych, północnych zboczach — aż wreszcie i tu ozwały się pastusze ligawki oraz radosne porykiwanie wygłodzonej chudoby.

Wtedy to znaleziono ciało starego Kosmali w przepastnym jarze, zwanym „Tatarską debrą". Ponoś czasu kozackich wojen długo ukrywała się tutaj rozbita wataha Tatarów, aż skrzyknęli się chłopi z leśnych osiedli i znieśli ją „doimienia". Była tu i mogiła, na której już wyrosły stuletnie jodły. Nietrudno było ustalić, że Kosmala, wyczerpany burzą i długim pochodem, wpadł do zawianej śniegiem „debry" i tu zginął wskutek uduszenia. Znaleziono obok i worek z zającem — ostatnim, jakiego pozbawił życia.

Smutek i bieda zagościły w chacie. Matka jakiś czas krzątała się jeszcze z opuchniętemi od płaczu oczyma, ale koło św. Jana zległa i wkrótce zmarła. Marcinek został sam, jak palec. Wprawdzie sprowadziła się doń stara wujenka, którą już dzieci wysyłały na żebry, ta mu gotowała strawę, ale i wyciągała z domu, co tylko mogła.

W tym czasie zawezwano Marcinka przed oblicze patrjarchy Mendla. Siedział on na zydlu i bawił się najmłodszym wnuczkiem.

— Sza, Lejbuniu! — Idź do matki! — krzyknął na hałaśliwego malca, poczem utkwił w stojącym na progu Marcinku swe wyblakłe oczy, nad któremi poruszały się siwe kosmyki brwi, i rzekł:

— Mój kochany — z ojcem twoim handlowałem trzydzieści lat i nigdy na mnie nie narzekał. Słyszałeś może w domu, żeby się kiedy poskarżył?

— Nie — szepnął Marcinek.

— Nu, widzisz — i ty nie będziesz potrzebował się skarżyć. Kupujemy wszystko: skórki, zające, sarny, ryby, raki — nawet jagody i grzyby — za wszystko płacimy zietelnie — choć czas ciężki jest. Prochu i śrutu, jak chcesz, to ci dam, drutu i żelaz tyż.

— Strzelby nima — mruknął chłopak

Ale Mendel się obruszył.

— Strzelbę masz w chałupie — a może w stodole — tylko dobrze poszukaj. Masz tu pięć złotych, jak kiedy co przyniesiesz, to się porachujemy!

Po powrocie do domu Marcinek zabrał się do poszukiwań. Trzy dni stracił, ale broń odnalazł.

Leżała w żłobie, zaopatrzonym w podwójne dno — pod strażą siwej kobyłki. Przednia ścianka podnosiła się do góry, ukazując skrytkę, dobrze uszczelnioną pakułami i smołą, tu zaś spoczywała krótka dwururka, proch w blaszance, śrut w kapciuchu, pudełko kapiszonów, stara torba i nawet butelka wódki Całe to dobro stało się posiadaniem Marcinka.

Minęło kilka lat. Marcinek szedł śladami swego rodziciela, bo i cóż miał robić — ale szło mu niezbyt dobrze. Nietylko dlatego, że początki są zawsze trudne, że zwierzyna od czasów pamiętnej zimy wyginęła niemal zupełnie i lasy stały głuche a milczące... Otóż był on „miętki", jak określali go sąsiedzi — nie miał powołania do mordowania i dławienia zwierząt, nie miał ojcowskiej zaciekłości i nie był „chytry" na zyski.

Mendel sarkał i niecierpliwił się — aż pewnego razu w czerwcu zawezwał do siebie Marcinka i wsiadł na niego.

— Co jest? Marcinek nic nie robi. Marcinek „ma boja", czy co? Potrzebno mi sarny na imieniny pana obrońcy w Biłgoraju. Ja tu siedzę, a wiem, że una co noc wychodzi z Osuchowskich zagajników na wyke Jachimkową — kole grabiny. A wielga koza, jak bik! Ośm złotych płacę bargeld — no już — niema co stać. Dzisiaj środa, a na niedzielę koza ma być w Biłgoraj!

Tegoż dnia, gdy nastała noc i księżyc wzbił się ponad lasy, Marcinek z nabitą siekańcem dubeltówką udał się na wskazane miejsce. Las urywał się tu wysoką i zwartą ścianą smukłych grabów. U jej stóp na południowych stokach wzgórza słały się uprawne pólka, a poniżej jeszcze zaczynały się bezkresne zagajniki leszczyn i brzózek, wspinające się tarasami ku górze i zlewające się z czarnemi smugami dalekich i nieznanych borów. Tu i owdzie z gęstwiny strzelały ku niebu wyniosłe nasienniki — dęby i sosny — rzekłbyś: kokosze wybiegły w pole, otoczone rojem piskląt.

Zapatrzył się Marcinek na ów czarowny widok usypiających dziedzin leśnych, z rozkoszą wciągał w płuca ich wonne, ciepłe tchnienie, zapomniał w nieobjętej ciszy, kiedy słychać tylko bicie własnego serca i skrobanie małej myszki leśnej. Oto pólko Jachimkowe, obsiane gęstą i kędzierzawą wyką — akurat krzak tarniny osłania jego stanowisko. Widać stąd dokładnie całą dolinę — brzózki bieleją w poświacie księżycowej tak wyraźnie, że można je policzyć. Dokoła nacichało coraz bardziej, tylko gdzieś bak hukał na odległych stawach, spóźniony wóz zadudnił na niewiadomej drodze, lub ostrzegawczo ozwał się kos swym melodyjnym świegotem.



Leśne błoto. Fot. W. Korsak.

W duszę Marcinka zakradła się jakaś przemożna tęsknota. Nigdy przedtem nie odczuł tak swego sieroctwa i opuszczenia, jak owej czarodziejskiej nocy. Zdało mu się, że miljony dalekich gwiazd ronią nad jego nieszczęsną dolą swe brylantowe łezki, raz po raz mrugając żałośnie.

Komuż bo on jest potrzebny i na co? Mendlom oto się wysługiwać, nadstawiać dla nich skóry i tyle. A później przyjdzie zginąć marnie, jak ojcu. Może oboje spoglądają nań z którejś gwiazdeczki. Znów zaskrzeczał kos — czyk, czyk, czyk — czy-i-i-i — nie może się uspokoić.

Ej — czy aby oczy go nie mylą — ale krzak leszczyny, na który właśnie patrzył — niby się poruszył i tak dziwnie wydłużył. Skąd się tu wziął? Chyba go tu nie było — a może go prześlepił... Naraz wszystka krew buchnęła mu do serca: — Koza!

Ona to była istotnie. Stała nawprost Marcinka bez ruchu, z wyciągniętą szyją i nastawionemi łyżkami. Nasłuchiwała i wietrzyła ze zdwojoną czujnością i troską macierzyńską, za nią bowiem ukrywało się małe sarniątko.

Już zbliżając się znanemi sobie przesmykami ku żerowisku, starała się wyłowić z ciszy wszelkie niepokojące ją odgłosy, rozpoznać je i ocenić. Przysta-

nęła, wahając się, bo oto dobiegł jej nozdrzy zapach człowieka. Ale wszak odwiatr ten nie identyfikował się dla niej z niebezpieczeństwem — nieraz wśród swych wędrówek stykała się z gajowymi, którzy spokojnie ją omijali. Wyszła więc z ufnością z opiekuńczej gęstwiny i po chwili jęła skubać soczystą wykę, posuwając się zwolna ku stanowisku Marcinka. Wkrótce była już na strzał.

Marcinek zwolna przyłożył broń do ramienia i w tejże chwili dostrzegł u boku kozy jakiś majaczący drobny kształt.

— Z małem! — szepnął i opuścił broń, wzdrygnął się na myśl o morderstwie karmiącej samicy.

Pasował się z sobą aż mu pot wystąpił na czoło: Ośm złotych, przednówek, żyd będzie kpił, nie da nawet paczki machorki na kredyt... sarna musi być na niedzielę w Biłgoraju — przewalało mu się w głowie. Zawziętość jakaś obca — bo i poco tu się pcha, głupia!

Stężał w nagłej decyzji, podniósł broń do oka, wycelował i pociągnął za cyngiel. Huk wtsrząsnął powietrzem i rozgłośnem echem wdarł się w leśną głuszę. Ze strzelba w ręku podbiegł do kotłującej się w wyce sarny. Z wyciągniętą tuż przy ziemi szyją sunęła, ona na swych strzaskanych cewkach ku zagajnikowi — na widok wroga wydała mrożący krew w żyłach, niemal ludzki — ni to krzyk, ni to gwizd — ostatnim wysiłkiem wyszarpnęła się w górę, ale wnet opadła, ciężko dysząc. W blasku księżyca dostrzegł oto dwie łzy, spływające z jej cudnych, rozwartych szeroko oczu.

Jak żywa stanęła przed nim matka, dzieciństwo, sieroctwo... Ze szlochem przypadł do swej ofiary, usiłując ją dźwignąć, postawić na nogi... ale bezwładnie zwisła kształtna głowa, zgasły, zmętniały jej bolesne, pełne wyrzutu oczy. Małe sarniątko plątało się bezradnie tu i tam.

Marcinek rzucił strzelbę i jak oszalały pobiegł przed siebie w las.

W samem sercu ordynackich lasów, pomiędzy Zwierzyńcem a Biłgorajem, w budzie, skleconej z jodłowych gałęzi, przez kilka lat z rzędu ciekawi mogli oglądać jakiegoś nędzarza. Dniem i nocą, zimą i latem przesiadywał on tuż przy wejściu do swego schroniska, zapatrzony uporczywie w ziemię. Nikt odeń nie usłyszał jednego słowa, na nikogo nigdy nie spojrzał. Jadła nie tknął przy ludziach, papierosy przyjmował, o ile były zapalone. Miłosierne babiny przynosiły mu to garnuszki ze strawą, to łachman jaki. Był to Marcinek.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

KILKA DNI W KNIEI POLESKIEJ.

Korzystając z mroźnych dni drugiej połowy lutego, wybraliśmy się paczką, składającą się z dziewięciu strzelb, na Polesie, aby zażyć wrażeń myśliwego. Po uciążliwej drodze w dusznym przedziale i na saneczkach chłopskich, rozdygotanych na skorupie lodowej, pokrywającej rozciągłe bagna, jesteśmy na miejscu, w lasach państwowego nadleśnictwa Białojezierskiego. Już na stacji poleszuki bajają nam o gromadach dzików, włóczących się po lasach i o wilkach, wyrządzających wielkie szkody w inwentarzach włościan. Wierzymy trochę tylko i czekamy na pewniejsze wiadomości, jakich dostarcza zawsze tropiciel nasz, dawny gajowy carski, znający doskonale las, Zacharko.

Ku naszej radości wiadomości, podawane przez laików, sprawdzają się i dzików jest sporo, no i parę wilków włóczy się w pobliżu padliny konia, jaką zawsze w tym celu gajowi wykładają już na parę tygodni przed przyjazdem myśliwych. Resztę dnia poświęcamy organizacji polowania, zamówieniu naganki i dopiero nazajutrz rankiem wyruszamy do lasu. Błota wszędzie pozamarzane, śladów dziczych spotykamy po drodze dużo, wszystko zapowiada się jak najlepiej. Naganka oczekuje na miejscu, nie tracąc więc czasu, udajemy się na stanowiska.

Polujemy przy pomocy pędzeń, obejmujących przeciętnie obszar 1 km²; w ciągu dnia średnio robi się 7—8 takich miotów; wszystko zależy od podszycia leśnego, przez które musi przedzierać się naganka. Myśliwi ustawiają się zależnie od terenu linjami leśnemi prosto, lub też w klamry, co jest mniej pożądane ze względu na niebezpieczeństwo strzałów sztucerowych. Pierwsze mioty nie dają wyraźnego rezultatu: pada lis i dwa koziołki selekcyjnego odstrzału, złożone dubletem, a na zapowiedziane dziki natknąć się nie możemy. Wracamy do leśniczówki w niezbyt różowych humorach, które dopiero poprawiają się po kolacji, no i przy nieodzownym bridge'u.

W drugim dniu św. Hubert lepiej nam sprzyja: już w pierwszym miocie pada piękny odyniec, którego wszyscy zazdrościmy szczęśliwcowi, potem znów parę miotów przechodzi bez rezultatu, jak to często bywa na polowaniu na grubego zwierza. Już dobrze po południu przyjeżdża Zacharko z wiadomością, że udało mu się otropić i ofladrować 4 „wołki". Decydujemy się przerwać polowanie i jechać natychmiast na wilki. Bierzemy paru chłopaków na nagankę i — „paganiaj!". Podjeżdżamy z zachowaniem ciszy, naganka po otrzymaniu dyspozycji odmaszerowuje pod komendą Zacharki i gajowego, myśliwi ciągną nieodzowne w tak ważnym momencie karteczki z numerami miejsc i rozstawiają się, przerywając przed sobą fladry i zakopując je w śniegu.

Stoję na wąskim dukcie, przedemną taki gąszcz, że widzę tylko na 10—12 kroków, za sobą mam również zbitą ścianę lasu o gęstem podszyciu, z lewej strony na dwadzieścia kroków — sąsiada, z prawej — poręb. Na umówiony znak — strzał z rewolweru — naganka wolniutko rusza, krzycząc i waląc pałkami po drzewach. Z kwadrans stoję bez ruchu, nic nie słysząc i nie widząc. Wreszcie padają strzały od lewego skrzydła. Wilki widać poszły po fladrach od lewej strony i tam wyszły. Chwila ciszy i znów strzały wzdłuż całej prawie linji tak, że nie mogę zorjentować się, skąd pochodzą. Wilki zdezorjentowane krzykami naganki z jednej strony, a strzałami myśliwych z drugiej, mając po bokach niepokojące je fladry, zaczęły kręcić się, jak zając w kotle. Widocznie kilka z nich musiało już paść, gdyż strzałów nie słychać, naganka też już prawie dochodzi.

Zniechęcony własnem niepowodzeniem, nie obserwuję już z taką uwagą haszczów przed sobą. Nagle zdaje mi się, że coś przemknęło przedemną, chwila — i na linję wyskakuje w susach wilk. Strzelam i widzę, że haniebnie spudłowałem, składam się po raz drugi i strzelam do znikającego już w haszczach zwierza. Słyszę trzask gałązek i — cisza. Rozgorączkowany, biegnę na owo miejsce i widzę leżące cielsko. Dostał parę loftek w komorę i dwie w szyję. Sztuka niezbyt duża, lecz w każdym razie to mój pierwszy wilk. Trzy pozostałe spotkał podobny los z tą różnicą, że padły z rąk starych wilczarzy. Co dziwne, że strzały na sztych nie dawały rezultatu, śmiertelnemi były jedynie strzały boczne.

Dzień kończy się pięknym wynikiem: cztery wilki i odyniec. Wracamy do domu, dyskutując o przeżytych wrażeniach. Prawie każdy widział wilki, chodzące po miocie, bohaterowie dzisiejszego dnia opowiadają historję swych celnych strzałów. Ja, z gebą usmarowaną farbą mego pierwszego wilka, jadę, jak tryumfator.

Ostatnie dwa dni polowania dają również niezłe rezultaty: zabijamy jeszcze jednego dzika, dwa lisy, trzy kozły, a na koniec, już prawie na odjezdnem, pada wilk i co najważniejsze niesznurowany. Zadowoleni z tak pięknych rezultatów, po parodniowym pobycie na świeżem powietrzu, wracamy do swych zajęć z nadzieją, że za rok, jak Bóg da, znów tu przyjedziemy próbować szczęścia.

BOHDAN CZAJKOWSKI.

SERCE I STRZELBA.

Od jednego z czytelników naszego pisma, z południowych rubieży Polski otrzymaliśmy ciekawe życzenia, złożone p. Władysławowi Gürtlerowi ex re srebrnych godów jego pracy łowieckiej. Drukujemy wyjątek.

...„Miej pogodę w sercu, w spojrzeniu bystrość oczu, którym nic nigdy nie uchodzi, ciesz się zdrowiem, a słońce myślistwa Twego niechaj nie zachodzi wcale, jak w państwie Karola V-tego.

Gdyby poległe w okresie 25 lat z Twej strzelby zwierzęta zjawiły się obecnie przed Tobą, uciekliby z Rzeszowa wszyscy z różnych pobudek — jedni w góry i lasy, a inni do Rudek, a Ty, otoczony dzikami, rogaczami, lisami, zającami, wydrami, kunami, gronostajami, przepiórkami, kuropatwami, cietrzewiami, jarząbkami, bekasami, kaczorami, krogulcami, kaniami, palumbariusami i mnóstwem innych tworów, nie wołałbyś, jak stary Fredro: „Gwałtu, co się dzieje?!", ale ze spokojem, lubością i z zadowoleniem patrzałbyś przez pryzmat różowych szkieł w przeszłość, przywoływałbyś wspomnienia dawne, miłe, ogromnie cenne i tworzyłbyś marzeniowe perspektywy nadal. Gdybyś wszystkie Twe kroki Nemroda z czasu lat 25 zestawił w kilometry, mógłbyś pójść w zawody z pilotem Burzyńskim.

Po wyskoczeniu z ciepłego łóżka i po umyciu się powierzchownem, jak Zosia w piątej księdze „Pana Tadeusza", wyjeżdżałeś o świtaniu na polowanie do ukochanych przez Ciebie Jużyniec na zloty kacze, widziałeś nieraz naczczo baby z próżnemi stągwiami, lub przejeżdżającego popa z brodą; wtedy rzucałeś słomkę za nim i kląłeś siarczyście, a gdy spostrzegłeś zająca, przecinającego Twój szlak, lub lisa, sznurującego w oddali do krzaków, wtedy wołałeś z zadowoleniem: „all right".

Jako delegat, groziłeś zaćmieniem słońca i trzęsieniem ziemi tym wszystkim, którzy postępowali wbrew zasadom prawidłowego myślistwa, chroniłeś zwierzostany w okresie amnestji i nie zezwalałeś, by godne łowiectwo schodziło na psy. Jak te roje trofeów niepoliczonych sprawiały Ci przyjemność niezmierną, tak znów rady i nagany, słowem i pismem przedstawione, stały się, najwyższą Twoją glorją, bo niszczyłeś w zarodku powody i tematy do *chronique scandaleuse*.

Powiadają, że miłość rządzi plemieniem człowieczem, a trofeami świata są ofiary, niechaj więc miłość otacza Srebrnego Solenizanta do czasu złotego jubileuszu, a dalsze mnogie trofea, szczególnie te w druku, niech trwale zdobią Kochanego Przyjaciela".

JÓZEF MAR.

HUMOR MYŚLIWSKI.



O PRASIE SOWIECKIEJ: „OCHOTNIK SIBIRI“ (MYŚLIWY SYBIRU).

Nader ciekawe wrażenie odnosi się przy czytaniu tego pisma, które ukazuje się aż w Nowosibirsku, będąc emanacją i organem „upotnarkom-wniesztorga zapsibpuszniny“ i Narymskiego „okrintgrałsojuza“.

Boże wielki! — przebacz naszym wschodnim sąsiadom ową skrótowo-hieroglificzną ekwilibrystykę!...

Czy nie byłoby prościej wyrazić się, że rzecz dzieje się w okręgowym integralnym związku!

Mgliste coprawda i zawiłe też określenie, ale przynajmniej zrozumieć można, że mowa o jakimś „integrale“.

Lecz są to gusty i guściki. W każdym bądź razie, przewertowawszy przysłane do Redakcji „Łowca Polskiego“ 9 numerów owego miesięcznika, nie można nie uznać wiele i to bardzo wiele trudu, włożonego w jego redagowanie.

Niektóre artykuły są aż zanadto drobiazgowo opracowane, a wszystko o zabarwieniu więcej niż poważnem.



Piękny pokot. (Do art. na str. 154). Fot. B. Czajkowski.

Utrudnia nieco czytanie jednolity, za drobny dla wszystkich petit, lichy gatunek papieru, szata zaś zewnętrzna powiem, że oryginalna i „indywidualna“ — dla każdego zeszytu. Natomiast fotosy pod zdechłym Azorkiem, szczególnie „plein-air'owe“, choć technicznie, naprzykład odtwarzający instalację syberyjskiej „nodji“, albo rozmaite przybory do łapania objektów łownych, są aż nadto pieczołowicie opracowane.

Jak zawsze, z każdego prawie egzemplarza bije organiczna niemal dążność do politycznej propagandy.

Cóż wspólnego ma z łowiectwem treść artykułu „Nasz miecz nieubłagany jest dla zdrajców Ojczyzny“ (Nr. 1—35) — albo „Siódmy zjazd Sowietów“ (Nr. 2), czy też „Górą sztandar wyczynów Stalina“ (Nr. 3), albo kilka stronic, poświęconych niejakim panom (przepraszam — towarzyszom) Ejsze i Grazdzińskiemu, którzy udekorowani zostali orderem Lenina... To znów „Obchód 1-go Maja i Październikowej Rewolucji“ (Nr. 4), „Armja Narodu Zwycięscy“ (Nr. 8—9).

Rozumiem, że wszystkie te i podobne pierwiastki mogą być nawet bardzo bliskie sercu prawowiernego poddanego Z. S. R. R., — atoli czyż miejsce dla takiej agitacji na szpaltach wydawnictwa myśliwskiego?!

Mówię o tem oczywiście z punktu widzenia „burżuazyjnego“ pisarza. Gdybym był bolszewikiem, może wymagania mojej mentalności byłyby inne — chociaż chłopski rozum i zdrowy rozsądek, pozostają zawsze jednakie, niezależnie od politycznych zabarwień. Charakter fachowości winien mimo wszystko uwzględniać li tylko zagadnienia zawodu.

Dziwnem zawsze będzie, jeśli pismo odontologiczne pocznie poruszać np. kwestje teologiczne, a wydawnictwo kościelne — zamieszczać sprawy walk bokserskich!

Jedynie chyba krótkie komunikaty o ogólno-narodowych katastrofach, stratach, czy kataklizmach muszą być podkreślone i podane do wiadomości. Ale trudna rada — każdy system ma swój obyczaj!

Ton prac łowiecko-sowieckich uwydatnia w pierwszej linji stronę, że tak powiem, utylitarną myślistwa.

Jest to, właściwie mówiąc, organ „wniesztorgu“ na eksport, który trzyma w swych karbach wszystkie gałęzie zagranicznego wywozu. Dotychczas bezgraniczne są możliwości czerpania znacznych dochodów z produktów łowieckich i futerkowych, z tajg i tundr arktycznych.

Nie można nie wyrazić uznania dla sposobów, któremi ów trust wszechsowiecki zorganizował cały aparat tej branży przemysłu. Dlatego też dziwić się nie należy, że rynki wszechświatowe, jak Amsterdam, Lipsk, Hamburg, Drezno, Paryż, Londyn, New-York — całkowicie są przesycone towarami futrzanemi, pochodzenia „radzieckiego“. Nawet Kanada spasowała wobec szalonej rozpiętości i stosowanych przez władze bolszewickie metod na miejscach organizacji sybirskiej „puszniny“- (futrzarstwa). Są one poprostu pierwszej klasy, naturalnie pod kątem widzenia ekskluzywnie handlowym. Z głęboką znajomością psychiki duszy rosyjskiej zcentralizowano od a do z wszystkie elementy fachowe zabarwienia myśliwskiego, bądź to całe grupy z pośród plemion li tylko z myślistwa żyjących — jak Zyrjanie, Orotczanie i inni, bądź pojedyńcze jednostki — w zwarte, bojowe, ochotnicze brygady! Każda taka jednostka otrzymuje zgóry nakreślony plan zdobyczy, tak zwanych „pusznych i zwierowych zagotowok“. Niewykonanie owego planu w terminie i w żądanej ilości sztuk, pociąga za sobą publiczne napiętnowanie organów centralnych i miarodajnych...

Prześcignięcie zaś żądanego minimum wywołuje zakwalifikowanie całych brygad, lub też pojedyńczych członków tychże, w poczet „udarników“, a nawet „narodowych bohaterów“ (oficjalna nominacja).

Komu są wiadome ogromne uprawnienia tej kategorji wybitnych sowieckich obywateli na każdym niemal kroku ich codziennego życia, ten łatwo zrozumie magiczną chęć trafienia do elity, przez władzę tak wybitnie uprzywilejowanej.

Niewykluczone są też i orderowe odznaczenia za podobne „udarniczeskije“ wyczyny! Łatwe jest do zrozumienia, że przy takiej technice i organizacji łowiectwa, konkretne rezultaty mogą być i są zadziwiające.

Ale... wszystkie owe manipulacje noszą w sobie zarodki arcyniebezpieczne. Każdy „udarnik“ myśli tylko o tem, żeby wypełnić zadanie, a czy charakter tegoż będzie miał zabarwienie niszczycielskie, czy zagraża wytępieniu tego, lub owego gatunku, to już wcale go nie interesuje. Tembardziej przy znanych nastrojach, formułowanych przez mentalność rosyjską: — „naplewat!“ Byle mnie w danym momencie było dobrze! *Après nous le deluge...*

Obecnie jeszcze tysiące i tysiące kilometrów głuchej tajgi-topielisk, tundr, stepów bezgranicznych, rozlewów rzek, równych krajom całym — ratują zwierzostany. Lecz życie idzie kinematograficznem tempem.

Tajga się nawet kurczy. Zresztą „pały" (pożary) huraganowe, powodzie i t. d — robią swoje.

Nadejdą czasy, kiedy i bezdenne mateczniki o bajecznych zwierzostanach zredukują się nader żałośnie. Kto wie, czy nie do zera! Cóż wtedy?

Aliści, czytając „Sybirskiego Ochotnika", musimy zastanowić się też nad zmysłem przewidywania naszych sąsiadów. „Dusić i wyduszać" zwierza i ptactwo nakazują oni i to bardzo energicznie, atoli równocześnie przez usta swych władz i organów łowieckich nie mniej srogo umieją karać odchylających się od ich rygorów. Pytanie tylko, czy właśnie gigantyczny rozmiar obszarów, nawet byłych północnych guberni, owe Narymskie i inne kraje, gwarantują istotnie możliwość zastosowania na miejscu zbawiennych zarządzeń. *That — ist question?*

Sądzę, że nie! Wieczna kwadratura koła!... Widzieliśmy już to w carskiej Rosji. Cyrkularze, prykazy, gwałt, harmider — słowa, słowa, tylko! A tam, w głębiach Rosji — cisza odwieczna.

Zachodzi jedna tylko kardynalna różnica! Wszelkie zbawienne nibyto regulaminy za czasów caratu miały za swe źródło sfery biurokratyczne i asygnowanie śmiesznie małych sum.

Tymczasem teraz obserwujemy, że sfery sowieckie posługują się: a) głosem swej prasy łowieckiej, b) nie żałują pakować swoich rubli w machinę kosztów łowieckich i c) zastosowują prawie że teror do winnych i szereg nieskąpo udzielanych nagród dla odznaczających się!...

Oprócz tego ciągle ładują łopatą w głowy swych baranków przez kina, odczyty, plakaty, płyty gramofonowe — żądane „desideraty". A kropla wody — głazy przebija!

Z tego wynika, że pod tym względem — niejednego u nich można się nauczyć.

Wogóle, są to tak mało znane u nas i zagranicą metody działania, tak niesamowite sposoby „integralizacji" kwestji łowieckich, że sądzę, obowiązkiem naszym jest, zbadawszy je, wyciągnąć też dla siebie możliwe konsekwencje.

Wszystko to nie może zmieścić się w ramkach jednego artykułu. Te ciekawe *sui generis* poglądy, sprawy hodowlane, etyczne i inne — będą zapewne przezemnie w przyszłości referowane łaskawym czytelnikom.

Dzisiaj tylko rzut oka na jedno z poważniejszych wydawnictw, specjalnie dla obszarów syberyjskich, które tak długo były terenem martyrologji pokoleń naszych, aż do zdobycia niepodległości przez Twórcę jej, Nieśmiertelnego Marszałka.

Atoli — dziś — służą eksploatacji zwierzostanowych bogactw, o rozpiętości iście amerykańskiej...

Co się tyczy działu beletrystyki i literackiego — jest on bardzo marny, o charakterze społecznym też bardzo indywidualnie traktowanym. „Bizness! bizness i jeszcze raz bizness!"

Lecz i przy tem założeniu możemy niejeden zbawienny postulat dla siebie wyłowić...

ADAM RZEWUSKI

W SPRAWIE NAPISU NA PAMIĄTKOWEJ STRZELBIE.

W artykule p. kpt. J. Wł. Kobylańskiego: „Epizody myśliwskie w życiu Marszałka Piłsudskiego", ogłoszonym najpierw w „Il. Kurjerze Codziennym" (dod. do n-ru 159 z dn. 10 czerwca 1935), a potem w „Łowcu Polskim" (Nr. 33 z dn. 20 listopada 1935), znajdujemy opis dubeltówki, należącej do pamiątek belwederskich, bo złożonej w darze Marszałkowi Piłsudskiemu (przez kogo, nie jest dokładnie wiadomem). Dubeltówka miała być niegdyś ofiarowana księciu Józefowi Poniatowskiemu przez Napoleona I, na co ma wskazywać znak N.I. i rodzaj dedykacji, wyrytej na kolbie.

Zauważywszy już w pierwszym opisie (w I.K.C.) dziwny tekst dedykacji, podzieliłem się z autorem artykułu swemi spostrzeżeniami w mniemaniu, że tekst ten został zniekształcony przez drukarza. Z ponownego jednak i to szczegółowszego opisu (w „Łowcu Polskim") okazuje się, że powtórzony był, z małym wyjątkiem, wiernie. Jest on następujący:

Au Marchal de la Prince Jozephe Poniatowski an 1812.

Co w nim, obok innych błędów językowych, przedewszystkiem uderza, to bezsensowne zestawienie rodzajnika żeńskiego z rzeczownikiem „Prince". Zdawałoby się w pierwszej chwili, że może opuszczono tu słowo „France". Powstałby wtedy wprawdzie sens, ale zarazem i nowy błąd językowy, bo Marszałek Francji nazywa się po francusku „*Maréchal de France*", a nie „de la France". Drugi błąd mamy w pisowni „Marchal" (zamiast „Maréchal"), trzeci, a raczej dwa, względnie trzy naraz (!) w imieniu „Jozephe", które się pisze „*Joseph*". Co do wyrazu „an" (przed datą roku), ma to być albo „en" *(préposition)*, albo francuski rzeczownik „an" *(l'an)* t. j. rok, niema więc potrzeby tłomaczyć tego, jako skrót łacińskiego „anno" (jak interpretuje przypis Redakcji).

Nie ulega wątpliwości, że napis w tej formie i w tej pisowni nie może pochodzić z Francji. Błędy językowe są tu tego rodzaju, że nie mogą one być tłomaczone np. różnicami pisowni dzisiejszej, a dawniejszej. W żadnej epoce tak nie mógł mówić i tak pisać rodowity Francuz. Nie mógł też podobnego dziwolągu akceptować Francuz (w tym wypadku Napoleon) także i wtedy, gdyby napis był, dajmy na to, wykonany okazyjnie poza granicami Francji.

Zobaczmy zresztą, jak się przedstawia stan rzeczy ze strony historycznej. Otóż strzelba nie mogła być ofiarowana Poniatowskiemu j a k o m a r s z a ł k o w i F r a n c j i w roku 1812, z tej prostej przyczyny, że w tym roku nie był on jeszcze marszałkiem. Został nim przecież przed samą bitwą pod Lipskiem, w r. 1813. Jest to wprawdzie fakt powszechnie znany, ale żeby usunąć wszelkie wątpliwości, pozwolę sobie zacytować odpowiedni ustęp z podstawowego dzieła Szymona Askenazego o księciu Józefie. Na str. 235 (wyd. 2-gie, 1905) czytamy: „W przededniu pierwszej walnej bitwy lipskiej, 15 października (1813) zrana, przybył Napoleon na prawe skrzydło i obwieścił armji, że mianuje Poniatowskiego marszałkiem Francji..." Zginął książę Józef 19 października, był więc marszałkiem Francji tylko przez cztery ostatnie dni życia. Nie trzeba chyba wyjaśniać, (gdyby nawet na strzelbie nie było daty 1812), że w czasie odwrotu z pod Lipska, miał Napoleon inne kłopoty, niż posyłanie Poniatowskiemu upominku.

Cóż z tego wszystkiego wynika? To mianowicie, że apokryficzny napis na strzelbie nie może być uważany za dedykację, nie mógł on bowiem być sporządzony z a ż y c i a Poniatowskiego. Czy strzelba wogóle należała do niego i czy po jego śmierci ktoś, tak jak umiał, chciał tę okoliczność przekazać pamięci — to już wymagałoby dalszych badań.

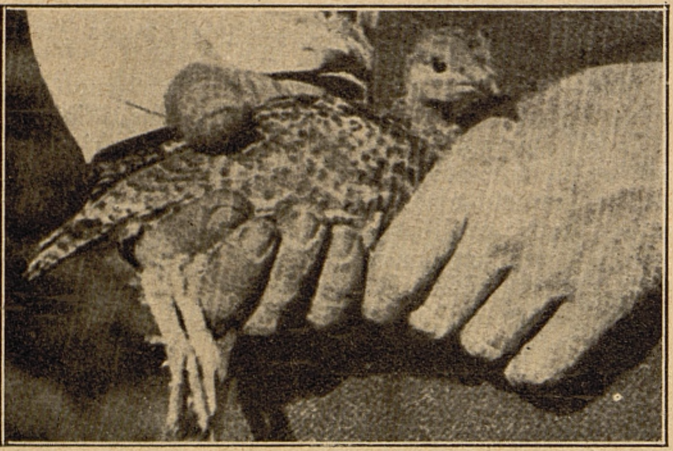
Inna rzecz, że ma to dziś właściwie znaczenie drugorzędne. Bo nie w tem tkwi obecna wartość przedmiotu. Jest on dziś pamiątką narodową i taką pozostanie, przez wzgląd na Tego, kto go posiadał ostatni i po sobie zostawił.

WITOŁD ZIEMBICKI.

PRZYCZYNEK W SPRAWIE PARDW.

Z dużem i serdecznem zainteresowaniem śledzę w „Łowcu Polskim" korespondencję i artykuły w sprawie pardwy.

Zdaje się nie ulegać kwestji, że stan tej charakterystycznej dla naszych północno-wschodnich kresów zwierzyny powoli i stopniowo ulega zmniejszeniu. Dzieje się to, pomimo że opodatkowanie przez odstrzał ze strony sportowych myśliwych nadmiernem być nie może, choćby ze względu na swoiste warunki przebywania tych ptaków. Nie warto zatem, mojem zdaniem, zastanawiać się nad ograniczeniem odstrzału, lub też może wprowadzeniem zupełnej ochrony, nie sądzę bowiem, żeby takie środki zaradcze doprowadziły do upragnionego celu, mianowicie pomnożenia ilostanu pardw.



Czterotygodniowa cieciorka wychowu p. J. Marchlewskiego. (Do art. na str. 167).

Przeważnie, jeśli mowa o naszej zwierzynie łownej, człowiek, jako czynnik jej ubytku, zajmuje pokaźne, jeżeli nie pierwsze miejsce. Nie ma to zastosowania odnośnie do pardwy. Myśliwy sportowy i wogóle co Niemcy nazywają „der Herrenjäger" nie robi pardwom wielkiej krzywdy. Niełatwo bowiem je znaleźć na ogromnych i mało dostępnych przestrzeniach ich przebywania. Odstrzał, rozpoczynający się 15-go sierpnia, trwa conajwyżej jeszcze przez wrzesień. Później warunki klimatyczne najskuteczniej bronią dostępu na rozmokłych rojstach. Nawet kłusownik nie interesuje się tą zwierzyną, jak wogóle ptactwem, ze względu na trudność trafienia i małą korzyść zdobycia. Tak więc największy odsetek normalnego ubytku pardw należy zapisać na karb t. zw. drapieżników. Są to ze skrzydlatych: orły, sokoły, różne jastrzębie, kruki, wrony i wielkie sowy, z czworonogów: wilki, rysie, lisy, kuny i łasice.

Jak już powiedziano w jednym z poprzednich artykułów, jakiekolwiek intensywniejsze tępienie szkodników na obszarach zamieszkiwanych przez pardwy nie da się przeprowadzić ze względu na ich niedostępność i ogromną rozległość, niepozwalającą utrzymywać dostatecznej ilości strażników łowieckich. Zresztą dawniej, kiedy nikt sobie jeszcze głowy nie zaprzątał specjalną ochroną pardw przez tępienie drapieżników, było ich stanowczo więcej. Na tych nietkniętych ludzką ręką, prawdziwie dziewiczych obszarach, przyroda sama sprawiedliwie reguluje stosunek między zwierzyną łowną, a drapieżnikami, nie wymagając sztucznych zabiegów.

Dochodzimy do jądra sprawy: pardwa należy do tej naprawdę dzikiej zwierzyny, która doskonale obywa się bez ludzkiej opieki i, w przeciwieństwie do zwierzyny kulturalnej, jak np. zając szarak i kuropatwa, stroni od człowieka i dzieł rąk jego. Co więc w pierwszym rzędzie wypiera pardwy z ich dawnych pieleszy, to niepowstrzymany postęp kultury. Prawda, że dziś mało się jeszcze odczuwa tej kultury na mszarach i rojstach północno-wschodnich kresów, ale przecie i tam już zaczynają kopać rowy odwadniające i przemyśliwają nad meljoracją i zużytkowaniem tych odwiecznych odłogów. Tej to akcji meljoracyjnej, osuszaniu sianokosów, błot i mokradeł, należy przypisać, że tak pospolity za czasów ojców i dziadów naszych dubelt dzisiaj stał się rzadkością.

Kultura i meljoracja, nie strzelba myśliwego, który słowami wieszcza, jak okręt, pływał po przestworach, przerzedziły nieprzeliczone chmary ptactwa błotnego i w znacznej mierze utrudniają chwalebny wysiłek wskrzeszenia i utrzymania ginących gatunków. Więc cóż mamy robić? Postępu kultury oczywiście nie wstrzymamy i słaba w tem pociecha, że tam, gdzie dziś jeszcze rażą wrażliwe oko socjologa bezużyteczne bagna poleskie, czy też rojsty litewskie, może już wnukowie nasi będą pukać do zajęcy lub kuropatw. Lecz zanim to nastąpi, dużo jeszcze wody upłynie Prypecią, Niemnem i Dźwiną. Chociaż więc w miarę postępu kultury pardwy będą musiały ustąpić z dzisiejszych ostoi, warto jednak zastanowić się nad możliwością i sposobami zachowania, względnie powiększenia obecnej ich liczebności, gdyż na szerokich odłogach, na których je dziś jeszcze spotykamy, jest ich istotnie niedużo.

Przedewszystkiem i jako pierwszy środek ochronny, nasuwa się tu myśl, ogólnie dziś w całym świecie przeprowadzana, tworzenia rezerwatów, gdzie prawdziwie dzikim przedstawicielom fauny zabezpiecza się spokój przez zachowanie tych pierwotnych warunków, jakie one do swego bytowania potrzebują. Oczywiście, że przodować winny w takiem przedsięwzięciu leśnictwa państwowe, trudno bowiem wymagać od zbiedzonych właścicieli prywatnych, aby dla idei wstrzymywali się od możliwego podniesienia wartości swoich nieużytków.

W drugim rzędzie jednak warto wziąć pod uwagę widoki wprowadzenia i aklimatyzacji zagranicznych przedstawicieli gatunku *lagopus* dla rozmnożenia uszczuplonego ilostanu miejscowego.

Pod tym względem podzielam bez zastrzeżeń opinję, wypowiedzianą na łamach tego pisma przez docenta U. J. dra J. Fudakowskiego o nierzeczowości myśli, podanej przez jednego z korespondentów, przemawiającego za sprowadzeniem szkockich grouse'ów, czyli pardw szkockich.

Podstawą wszelkich eksperymentów aklimatyzacyjnych powinna być zawsze pewność zabezpieczenia wprowadzanej zwierzynie korzystniejszych warunków życiowych pod względem klimatu, pożywienia i bezpieczeństwa. W danym wypadku jednak klimat Szkocji i Anglji północnej, typowo oceaniczny, jest bezwątpienia o wiele łagodniejszym od klimatu naszych kresów północno-wschodnich. Już to, że szkockie grouse'y, w przeciwieństwie do wszystkich innych przedstawicieli tego gatunku, nie bieleją na zimę, zachowując prawie bez zmian swoje letnie upierzenie, wskazuje na przewagę w tamtych stronach łagodnych i bezśnieżnych zim. Pozatem łowiska na pardwy Anglji i Szkocji stanowią dzisiaj przedmiot ostrego współzawodnictwa i znajdują się obecnie w rękach najbogatszych ludzi świata. System polowań z naganką i przesadzanie się w rekordowych rozkładach warunkują najtroskliwszą opiekę i intensywność hodowli, wobec czego tym bogaczom propozycja kupna żywej zwierzyny przez polskich odbiorców wydawałaby się wręcz śmieszną.

Na szczęście pardwa, prócz małych względnie obszarów Szkocji, zamieszkuje przestrzenie arktyczne i północne trzech kontynentów: Ameryki, Europy i Azji, tak iż ilościowo *genus lagopus* jest jednym z najliczniej reprezentowanych gatunków na świecie.

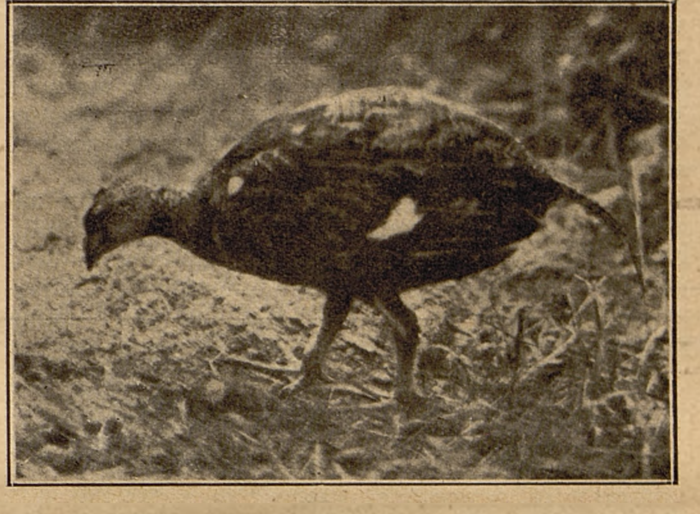
Ponad 60-ym równoleżnikiem pardwy znajdujemy masowo w północnej Kanadzie (ptarmigan), na Alasce, na całej Grenlandji, na Islandji, Spitzbergu i Nowej Ziemi, aby tylko wymienić jej rozległy habitat arktyczny; zaś z bliższych nam krajów północnych pardwy zamieszkują cały półwysep Skandynawski, Łotwę, Estonję, Finlandję, prawie całą północną Rosję i znaczną część Syberji. Jest więc w czem przebierać.

Walutowo i transportowo najkorzytniejszem okazałoby się przypuszczalnie sprowadzenie pardw z Finlandji. Są to, przynajmniej w południowej Finlandji, pardwy raczej nizinne, które znalazłyby u nas warunki podobne do rodzimych, klimat zaś raczej łagodniejszy, z pewnością zaś krótszy okres zimowy.

Najbardziej jednak interesują mnie osobiście pardwy norweskie, gdyż spędziłem w Norwegji lat kilka i z doświadczenia i praktyki znam doskonale warunki życiowe tamtejszych pardw, jak i myślistwo norweskie. Pardwa norweska zamieszkuje prawie cały obszar kraju, z wyjątkiem jedynie nadmorskich dystryktów południa i południowego zachodu. W południowej i środkowej części kraju pardwa jest ptakiem wybitnie wysokogórskim i spotykamy ją tam w znacznych ilościach w masywach górskich, ponad granicą zalesienia, t. j. w południowej i środkowej Norwegji wzwyż poziomu 800 m. Znajdujemy ją tam w kosodrzewinie ze skarlałej i pałąkowatej brzozy górskiej, w rosnących zwłaszcza wzdłuż potoków krzakach brzozy, iwy i wierzby polarnej, a wreszcie najliczniej na rozległych, startych lodowcami płaskowyżach o charakterze tundry. Im dalej na północ, tem bardziej obniża się poziom przebywania pardw, aż w dystryktach północy Helgeland i Nordland dochodzi ona do samych wybrzeży północnego morza, a nawet przebywa nader licznie na tysiącach niezamieszkałych nieraz wysp i wysepek, które wieńcem okalają tamtejsze brzegi. Dalej jeszcze na północ i wschód wąskie pasmo lądowe norweskie rozszerza się nieco i tworzy najdalej wysunięty ku północy i wschodowi ogromny dystrykt Finmarken, graniczący na południu z Finlandją, a na wschodzie z rosyjskim Murmanem. W śródlądziu Finmarken, gdzie zaludnienie przez koczujących Lapończyków spada do cyfry jedna siódma mieszkańca na kilometr kwadratowy, a przeciętna roczna temperatury — poniżej zera, roi się od pardw w tamtejszych górach i na tundrze.

W górach Norwegji rozróżniamy dwa rodzaje pardw, zwane w języku miejscowym: *lirype i fjellrype*, co najlepiej spolszczyć jako: pardwa halna i pardwa skalna. Istotnie pierwsza trzyma się hal, kosodrzewiny i rozległych bagien wyżynowych, podczas kiedy druga, t. j. pardwa skalna, idzie jeszcze wyżej, tak iż musimy jej szukać w skałach nielicznych turni, krzesanic i nagich szczytów, często pokrytych wiecznym śniegiem. Jako wegetacja tej strefy szczytowej, znajduje się tam prawie wyłącznie szary mech islandski i czasem w szczelinach ubogie jagodniki czarnych, cierpkich jagód. Pardwa skalna, której ilostan jest oczywiście dużo mniejszy, różni się od zwykłej pardwy mniejszym rozmiarem (mniej więcej 3/4 halnej pardwy), jak i letniem upierzeniem, nie rudawem, jak u zwykłej pardwy, ale popielatem. Ogólnie mówiąc, rudawe upierzenie zwykłej pardwy ogranicza się miarą, im dalej postępujemy na północ, tak iż zaledwie je dostrzegamy u pardwy arktycznej. Pardwa skalna, stykająca się mniej jeszcze od swojej zwykłej kuzynki z człowiekiem, bywa tak mało płochliwa, że daje się zejść na parę kroków i zamiast zerwać się, uchodzi biegiem, wciąż przystając i obzierając się. Myśliwi, polujący jesienią na renifery, strzelają je czasem z małokalibrowej broni kulowej.

Co się tyczy polowania na pardwy w Norwegji, to sezon zaczyna się w końcu sierpnia i trwa przez miesiąc wrzesień. W tym czasie poluje się na pardwy z wyżłem. Używają tam przeważnie pointerów i setterów angielskich. Na ogromnych przestrzeniach bowiem potrzeba psa szybkiego i widnego zdaleka. W dobre lata pojedyńczy myśliwy z dobrym psem może upolować bez trudności 100 i więcej pardw w ciągu dnia, zwłaszcza na wrzosowiskach skalistych wysp (skerów) północy. W końcu września jednak i w początku października pardwy zbijają się w ogromne gromady, liczące po 100 i więcej pogłowia. Takie stada są nader czujne i nie dają się podejść na strzał śrutowy. Próbowałem tego w porze jesiennej nieraz na małych, bezludnych wysepkach morza północnego. Niema sposobu zbliżenia się na strzał śrutowy. Parę razy niepokojone, pardwy nie wahały się wzbić, jak stado gołębi i lot swój skierować ku sąsiedniej wyspie, przelatując przytem kilka kilometrów wody. Dopiero z wiosną stada rozbijają się znów na pomniejsze grupy. Obserwując czasem w kwietniu na nartach tokujące pardwy, zwłaszcza w perłowem półświetle już prawie bezmrocznych nocy, widywałem zwykle po kilka kur przy jednym kogucie.



Dwumiesięczny cietrzew-kogut wychowu p. J. Marchlewskiego. (Do art. na str. 167).

Nominalnie polowanie na pardwy trwa do 1-go marca, jednakże, wskutek opisanych powyżej zwyczajów zwierzyny, myśliwy ze strzelbą zdobywa je prawie wyłącznie tylko wczesną jesienią i właściwie nie czyni im dużego uszczerbku. 80 do 90% konsumcji, a nawet eksportu, obracających się w sześciomiejscowych cyfrach, jako całoroczny rezultat, dostarczają zawodowi wnykarze, uprawiający legalnie przez całą zimę swój wstrętny proceder. Myśliwi norwescy, zjednoczeni w związku łowiecko-rybackim *(Norsk Jaeger og Fisker Forening)*, od lat daremnie starają się o przeforsowanie ustawy, zabraniającej zimowego łapania pardw. Zarówno to, jak i inne zamierzenia ochronne, np. opieka nad szybko ginącym niedźwiedziem, nie dają się przeprowadzić z powodu przewagi w Stortingu, czyli parlamencie, głosów włościańskich i partyj radykalnych.

Swoją drogą zawód zimowego wnykarza łatwego chleba bynajmniej nie daje. Z początkiem zimy człowiek taki podchodzi z doliny na nartach daleko w góry, do jakiegoś letniego szałasu na halach. Żyć wypada mu z zapasów, które przyniósł sobie na plecach: trochę chleba suchego, masła, sadła, mięsa wędzonego, kawy i konserw. Szałas, nieraz sklecony byle jak z płyt kamiennych, poprzetykanych mchem, o jednem palenisku, zaledwie chroni od zimna. Drzewo trzeba mu znosić zdaleka, śpi na deskach, ścielonych chróstem czy mchem, bez żadnego przykrycia. W szerokim promieniu rozstawia swoje sidła, które trzeba codzień obchodzić. Jeżeli burze zimowe, zamiecie, wichry i mgły nie pozwolają na opuszczenie szałasu przez kilka dni, rosomak, lis, orzeł, kruk, czy sowa polarna, rozszarpały tymczasem usidlone ptaki, niszcząc i rozwlekając włosiane sidła. Gdy po kilku dniach wyjątkowej zimową porą pogody udało się uzbierać

kilkadziesiąt ptaków, wnykarz, ciężko objuczony, zjeżdża w dolinę. Kramarz wiejski liczy mu może złotego za parę ptaków, nie płaci jednak gotówką, tylko zapasami żywności, jakiej wnykarzowi znowu potrzeba na dalszy pobyt w szałasie. Jak widać z tego, lwia część zysku pozostaje w kieszeni pośrednika, który bez trudu i ze znacznym zarobkiem wysyła niepokalany biały towar dalej, do miasta. Wnykarz zdobywa tyle tylko, że jakoś opłaca psie swoje życie przez długą zimę północną. Takie i podobne w leśnej robocie harowanie wyrabia ten żelazny hart i niezdartą odporność, którą podziwiamy u narciarzy norweskich.

Rozpisałem się tak szeroko o pardwach norweskich i tamtejszych stosunkach miejscowych, ażeby wykazać, że sprowadzenie stamtąd żywych okazów pardw nie przedstawiałoby wielkich trudności. Sądzę, że wskazanym dla wypełnienia ewentualnych zamówień byłby Zarząd Lasów Państwowych. Norweska pardwa skalna nadawałaby się może do aklimatyzacji w naszych górach, t. j. Karpatach i Tatrach, gdzie mogłaby z korzyścią wzbogacić ubogą avifaunę stref szczytowych. Gorsze warunki, niż te, do których przywykła u siebie podczas 6 do 8 miesięcznej zimy, trudno sobie wyobrazić, tak iż klimat Karpat powinien wydawać się jej iście rajskim. Przypuszczam, że norweska pardwa skalna jest formą pokrewną pardwy alpejskiej *(Alpenschneehuhn)*.

Wkońcu chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na zamierzoną podobno wyprawę polską do Grenlandji. Może udałoby się biorącemu w niej udział zoologowi przywieźć do Polski kilka żywych okazów tamtejszej pardwy, która, jak wiele przedstawicieli fauny polarnej, nie zdradza obawy przed człowiekiem.

LEON RZYSZCZEWSKI.

*

* *

Nie podzielamy poglądów Szanownego Autora o bliskiem już jakoby zaniknięciu, wobec postępów kultury rojstów i mszarów Wileńszczyzny i Polesia. Uporanie się z niemi nie jest sprawą łatwą i tania, a gospodarcza wartość ewentualnie osuszonych przestrzeni — problematyczną. Możemy więc tymczasem spokojnie zastanawiać się nad tem, jak je osiedlać pardwami. Co się tyczy rzekomej nierzeczowości pomysłu sprowadzenia szkockich pardw (grousów), to, skoro się ten eksperyment udał w północnych Niemczech, i u nas możeby nie zawiódł, tembardziej, że podniesiona przez Szanownego Autora zdolność pardwy przystosowania się do najróżnorodniejszych warunków i to zarówno pod względem wyżywienia, jak i dostosowywania ubarwienia, pozwala żywić pewne uzasadnione nadzieje w tym kierunku. Zresztą Redakcji naszej nie chodzi bynajmniej koniecznie o szkockie pardwy. Chodzi o znalezienie, względnie wytworzenie takiego typu pardwy, któryby dostosował się do warunków klimatycznych obszarów, znajdujących się na południe od obecnej granicy osiedlenia pardwy i mógł je w sposób trwały zaludnić. Czy będą to szkockie pardwy, czy inne — to obojętne, aby tylko były to pardwy, przystosowane do życia w nizinach. Co się tyczy aklimatyzacji normalnej pardwy skalnej w naszych Karpatach i Tatrach, to jest to osobna sprawa, o mniejszem w porównaniu z poprzednią znaczeniu, ze względu na mniejsze obszary, jakie mogłyby wchodzić w grę, niemniej również zasługująca na uwagę. *(Przyp. red.)*.

PLACENTOFAGJA.

Zaobserwowanie dwóch wypadków, w których sarna po porodzie spożyła własne łożysko (placentę), dało podnietę „Straży Myslivosti" do poświęcenia temu wypadkowi specjalnego artykułu.

Autor tego artykułu twierdzi, że powyższych wypadków nie należy uważać za żadne curiosum, tylko za szczęśliwą sposobność podpatrzenia powszechnego zjawiska w przyrodzie, a jedynie tylko zawistnie skrywanego przez rodzące samice.

Placentofagja jest rzeczą normalną zarówno u roślinożernych, jak i u mięsożernych — ssaków. I nasze zadomowione samice pożerają własne łożyska, o ile im w tem nie przeszkodzi człowiek, lub o ile nie odwykły od tego w następstwie zmiany warunków życiowych.

Typowym przykładem są tu nasze domowe suki, którym ta niezwykła pożywka nic nie szkodzi, chyba, że poród jest bardzo obfity, a żołądek suki, skutkiem przehodowania, znacznie rozdelikacony. Ten sam zwyczaj mają wszystkie koty, od naszego domowego, do lwa i tygrysa włącznie. Niema w tem napozór nic dziwnego, zwierzęta te bowiem z natury są chciwe na wszystko, co pachnie świeżą krwią. To samo zjawisko często bardzo spotyka się u domowych świn, skłonnych, jak wiadomo, do pożerania własnych, nawet zdrowych, prosiąt. Z klatki domowych królików żaden hodowca nie usuwał jeszcze łożyska po świeżo odbytym porodzie, jak również żaden myśliwy nie widział w kotlinie samicy zająca z mokremi jeszcze młodemi.

U zwierząt, rodzących niedołężne potomstwo, możnaby placentofagję usprawiedliwić chęcią usunięcia czegoś, co ściąga do niedołężnego płodu dokuczliwe owady, lub drapieżnego mięsożercę. Lecz nie można o tę przezorność posądzić roślinożernych kopytowców, których potomstwo jest od pierwszej chwili ruchliwe i natychmiast po urodzeniu oddala się z matką od swej kolebki. Zatem przyczyna, a raczej celowość placentofagji tkwi w czem innem.

Rąbek tajemnicy uchyla Aristoteles w swej historji zwierząt (IV wiek przed Chr.), gdzie, pisząc o placentofagji klaczy, nazywa substancję, zawartą w łożysku, słowem *hippomanes*. W 300 lat potem, Plinius Starszy (Historia naturalium VIII, 42) twierdzi, że klacz nie dopuści swego źrebięcia do wymienia, póki hippomanesem nie pobudzi własnego organizmu do wydzielania mleka.

Dodać tu należy, że plancentofagja jest rzeczą zwykłą u małp, spotyka się jeszcze u ludzi (brazylijskie Indjanki oraz Jawajki), a Henning w drugiej połowie ubiegłego stulecia notuje jeden fakt placentofagji w Saksonji, traktując go, jako zabobon.

Weterynarja potępia placentofagję, zdaje się, niezupełnie słusznie, gdyż jeśli ona zaszkodzi tu i owdzie, to zawsze tam, gdzie zwierzę chowane jest bez ruchu, a żywione w sposób bardzo odbiegający od natury. W odniesieniu natomiast do zwierząt, żyjących czystem prawem natury, za rzecz szkodliwą dla zdrowia uważać jej nie można.

Ciekawe są doświadczenia fizjologów z wyciągiem łożyskowem. Basch w r. 1909, a Lederer w rok potem zastrzykami dożylnemi tego wyciągu osiągnęli znaczne podniesienie się laktacji u kóz, zaś Ascher i Grigorin w 1911 r. wywołali tą drogą laktację u młodej „dziewiczej" świnki morskiej. Szwajcarski lekarz weterynarji Grüter w 1926 zastąpił zastrzyki dodawaniem wyciągu łożyskowego do zwykłej karmy dojnych krów i uzyskał znaczne podniesienie się ich produkcji mlecznej.

Doświadczenia te uprawniają nas do wyprowadzenia wniosku, że w łożysku gromadzą się mlekotwórcze hormony, które przed porodem naczyniami krwionośnemi dostają się do gruczołów mlecznych i powodują sekrecję wewnętrzną.

We wniosku tym, najzupełniej zresztą logicznym, leży klucz do rozwiązania zagadnienia placentofagji naszej roślinożernej zwierzyny łownej.

WŁ. KARNKOWSKI.

ROZPOZNAWANIE PŁCI U SŁONEK.

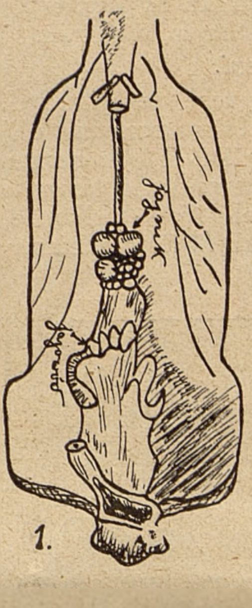
Na temat polowań w czasie ciągu na słonki toczy się na łamach prasy fachowej ożywiona dyskusja, chodzi bowiem o stwierdzenie, czy praktykowanie tego rodzaju polowania jest szkodliwe dla stanu słonek w łowisku. Niektórzy autorzy bowiem twierdzą, że na ciągu ubija się większy procent samic. Sprawy tej nie możemy uważać jeszcze za całkowicie wyjaśnioną i w interesie łowiectwa leży, by skrystalizowano to zagadnienie. A niebawem rozpocznie się najlepszy czas obserwacji — ciąg słonek.

W jaki sposób można stwierdzić (przeważnie *post mortem)*, czy dana sztuka jest samcem, czy też samicą? Niektórzy (m. in. L. Pac-Pomarnacki, p. „Łowiec Polski" Nr. 10—13 r. 35) twierdzą, że, polując na ciągu, ma się pewną możność odróżnienia samca od samicy i ochrony tej ostatniej. Słonki bowiem, podobnie jak i kaczki, o ile tylko lecą w parze — trzymają się w ten sposób, że samica zawsze leci na przedzie, zaś samiec podąża za nią, toteż przy strzelaniu trzeba pamiętać o tem i tylną sztukę brać na cel. Ponadto samica jest cokolwiek wieksza od samca. Co do przytoczonej wyżej kolejności w locie, to pierwsza sztuka wprawdzie może być samicą, prześladowaną przez samca, zdarza się jednak często bardzo, że jeden samiec goni drugiego, więc kolejności lotu nie można przyjmować za regułę. Co do różnicy w wielkości, to nie może być pewnikiem twierdzenie, że samica jest nieco większą od samca (co jest regułą u skrzydlatych drapieżników), gdyż np. przeciętna długość całkowita *(longitudo totalis)*, mierzona przezemnie u 13 samców, wynosiła 28,9 cm., zaś przeciętna długość całkowita 14 samic — 28,7 cm., a zatem o 0,2 cm. mniej. Należałoby przeto raczej przypuszczać, że wielkość samców i samic jest równą. Wyglądem zewnętrznym (upierzeniem) również w niczem nie różni się samiec od samicy, a bezapelacyjnie ustalić można płeć jedynie drogą anatomiczną, co jest stosunkowo łatwem wiosną, kiedy jajniki oraz jądra są nabrzmiałe, wymaga tylko pewnej wprawy.

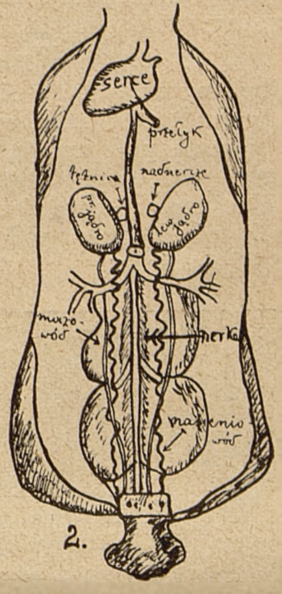
Z uwagi jednak na to, że zbadanie płci u słonek posiada dla myśliwego znaczenie praktyczne jedynie wiosną, gdy chodzi o wyświetlenie sprawy szkodliwości polowania na ciągu, oraz o to, czy ubita została słonka lęgowa, przeto kwestja oraz określanie płci jesienią drogą anatomiczną i związana z tem trudność posiada znaczenie drugorzędne.

Jak wspomniałem powyżej, podczas ciągu (popędu płciowego) są jajniki oraz jądra silnie nabrzmiałe, a tem samem łatwo je znaleźć. U samicy nabrzmiałym jest jedynie lewy jajnik, który posiada kształt grona i zawiera znajdujące się w różnych stadjach rozwojowych jajka (rys. 1), nieposiadające jednak jeszcze ani skorupy wapiennej, ani warstwy białka. Skorupa wapienna oraz białko wytwarza się dopiero podczas przejścia przez jajowód i jego dolną część, t. zw. *uterus* czyli macicę, która łączy się z odbytnicą. Jajowód, podobnie jak jelita, jest silnie skręcony.

Jajnik leży pod wnętrznościami po dolnej części ściany lewej nerki. Nerki są stosunkowo wielkie i znajdują się w okolicach lędźwi i kości krzyżowej. Małe, okrągławe nadnercza znajdują się na przedzie, oraz po wewnętrznym brzegu nerek. Jądra leżą w jamie brzusznej, bezpośrednio pod kręgosłupem za płucami i na przedzie nerek (rys. 2). Przy jej dolnym brzegu leży przyjądrze, od którego rozchodzi się w tył, łącznie z moczowodem, skręcony nasieniowód, zakończony przy górnej ścianie odbytnicy (obustronnie).



Narządy płciowe samicy.

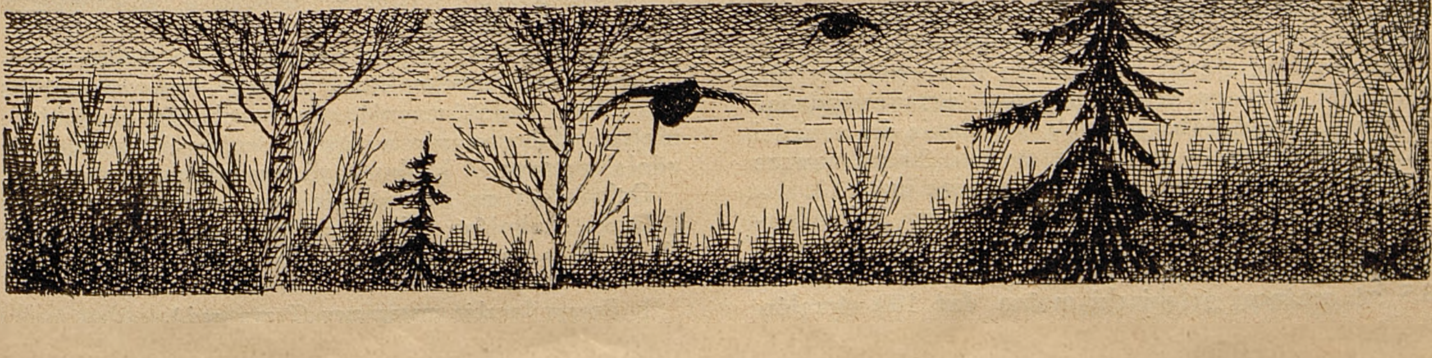


Narządy płciowe i moczowe samca.

Celem anatomicznego zbadania płci, kładzie się słonkę na stół w ten sposób, że prawy jej bok przylega szczelnie do stołu. W okolicy nadudzia usuwa się piórka i przeprowadza równolegle do kręgosłupa cięcie przez żebra (szerokość 2 cm.). W powstały otwór kładzie się palec wskazujący prawej ręki i zesuwa wnętrzności. U samicy zobaczy się wówczas jajnik, składający się z małych i większych jajeczek i pęcherzyków, ułożonych w kształcie grona, u samca natomiast lewe jajowate, białe jądro, wielkości fasoli. Należy uważać, by nie pomylono jądra z rozwijającem się jajkiem, dlatego też szukać trzeba ewtl. obok znajdujących się mniejszych jajeczek i pęcherzyków.

Przez opisany wyżej sposób nie ucierpi ani zewnętrzny wygląd słonki, ani jej użytkowość, o ile się oczywiście przeprowadza badania ostrożnie, umie znaleźć położenie oraz rozróżnić wygląd narządów płciowych.

DR. INŻ. LEON OSSOWSKI.



BALISTYCZNE UWAGI I SPOTRZEŻENIA NA ZAWODACH W STRZELANIU DO RZUTKÓW W RADOMIU 13. X. 1935 R.

Pomijam zupełnie opis zawodów, bo uczynił to p. Wł. Z. na łamach „Łowca Polskiego" Nr. 30 z 20. X. 1935 roku w tak wyczerpujący sposób, że trudnoby było coś dodać.

Chciałbym tylko podzielić się spostrzeżeniami, które na polu balistyki myśliwskiej już niejednokrotnie przy strzelaniu do rzutków robiłem, a które na zawodach w Radomiu znalazły pełne potwierdzenie.

Myślę, że będzie to interesowało specjalnie tych braci w św. Hubercie, którzy, czując w sobie w kierunku strzelania do rzutków talent i ochotę, są gotowi powiększyć w przyszłości szeregi zawodników na „udeptanej ziemi", czy to boiska 72 p. p. w Radomiu, czy też na innym analogicznym konkursie.

Wybór broni.

Możemy uważać za niezbitą tezę, że tylko kal. 12 ma w rzutkach szanse, co jest łatwo zrozumiałe, jeśli się weźmie pod uwagę, że w kal. 12 w normalnej 65 mm. łusce mamy 32 gr. śrutu, podczas gdy w łusce o takiej samej długości w kal. 16 — tylko 28 gr, a w 20 ledwie 26 gr.; w łusce kal. 12/70 mm. mamy nawet 35 gr. śrutu.



Pierwszy tego roku. Fot. inż. B. Farnik.

Dalej — nie trzeba zapominać, że szybkość wylotowa (V_0) śrutu w kal. 12 jest największa. Nie jest to wprawdzie duża różnica, wynosi bowiem ledwie kilka do kilkunastu m/sek., ale trzeba pamiętać, że na zawodach rzutek nietylko trafiony, lecz także musi być rozbity i właśnie te choć drobne różnice mogą w konkursie, gdzie nieraz jeden rzutek rozstrzyga, odegrać dużą rolę.

Na tem miejscu pozwolę sobie zrobić kilka uwag na temat u nas przereklamowanego kal. 20. Niewątpliwie strzelanie, a właściwie, dokładnie mówiąc, trafienie ze strzelby kal. 20 świadczy o strzelcu bardzo dobrze, ale w dziedzinę blagi myśliwskiej należy wstawić twierdzenie, słyszane aż do znudzenia na różnych polowaniach, że „dwudziestki nadzwyczajnie ostro biją".

Nie wytrzymuje to twierdzenie naukowej krytyki, a zresztą pomiary szybkości śrutu, przeprowadzone na Stacji Badań Balistycznych — jedynie dla ostrości bicia miarodajne — wykazują, że kal. 20 ma zawsze mniejszą szybkość, niż 16 — nie mówiąc już o 12.

Oprócz tego mają dwudziestki jeszcze jedną bardzo niemiłą stronę, a mianowicie, że, będąc zwykle bardzo lekkie, kopią niemiłosiernie. O ile z ciężkiej, 3,5 kg. ważącej gołębiarki można dać 100 strzałów dziennie i więcej bez bolesnego odbicia ramienia, twarzy i wskazującego palca, to bardzo wątpię, czy uda się to z leciuchnej dwudziestki.

Każdy konkurent więc, któryby stanął do konkursu z dwudziestką, jest zgóry skazany na niepowodzenie, o ile nie jest jakimś mistrzem nad mistrzami. Tyle na temat dwudziestek.

Bardzo dobrą i praktyczną bronią przy rzutkach jest ten tak niesłusznie pogardzany i za broń II klasy uważany „browning" śrutowy, oczywiście kaliber 12, pomijając bowiem jego doskonałe, bardzo równomierne pokrycie i niezawodne repetowanie, trzeba wziąć jeszcze pod szczególną uwagę jego minimalny odrzut, co tłomaczy się tem, że całą energję odrzutu mechanizm zużywa na repetowanie. Naturalnie, że browninga śrutowego nie można zaliczyć do broni pięknej. Typowa to broń seryjna, przypominająca raczej rkm.*), niż broń myśliwską—ale tam, gdzie chodzi o konkurs, nie należy z żadnego, choćby najdrobniejszego awantażu rezygnować, zawieszając choćby na chwilę względy estetyczne na kołek. Zresztą, jeśli strzelec tak wysokiej klasy, jak bar. Stanisław Rosenwerth, używa właśnie tej broni do rzutków, to jest to niezawodnym znakiem, że broń ta ma swoje duże zalety.

Na zawodach w Radomiu widzieliśmy także kilka „book-flint" (dwie lufy śrutowe, jedna nad drugą); jest to broń bardzo pięknie i solidnie wykonana, firmy Merkel w Suhl (Niemcy) i F. N. (Belgja). Zagranicą używają jej do rzutków coraz częściej, ma ona bowiem tę dobrą stronę, że nie zasłania strzelającemu pola widzenia w tym stopniu, co zwykła dubeltówka i pozwala szybciej spostrzedz rzutek, wylatujący w powietrze. Używał tej broni w Radomiu między innymi p. Koschembahr-Łyskowski, zdobywca I-ej nagrody w klasie A.

Amunicja.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że na zawodach trzeba używać zawsze najlepszej amunicji. Tę, którą dostarczyła na zawody w Radomiu P. W. P. Pionki, można uważać za istotnie ze wszech miar doskonałą.

Głównym czynnikiem co do dobroci naboju jest proch, naboje P. W. P. Pionki były nabite „Sokołem", to jest prochem nietylko najlepszym między naszemi krajowemi prochami, lecz także konkurującym z powodzeniem z najlepszemi prochami zagranicznemi: daje on bowiem największą szybkość śrutu przy bardzo równomiernem spalaniu się.

Drugim czynnikiem dobroci amunicji jest łuska i jej wykończenie. Chodzi bowiem tak na treningu, jak i na zawodach o to, by strzały były mniej więcej jednakowe tak pod względem pokrycia, jak i przebicia — czyli żeby t. zw. strzały „dzikie" były ograniczone do minimum. Na to wpływa najdokładniejsze odważenie dawki prochu, doskonale kalibrowana łuska równomierne osadzenie przybitki prochowej na wkładce, dokładna, zawsze jednakowa dawka śrutu, dokładne osadzenie kartonika na śrucie i wkońcu — rzecz bardzo ważna — dokładne, równomierne zarolowanie naboju.

Tylko fabryka, mająca najdokładniej funkcjonujące urządzenia mechaniczne, potrafi tym wszystkim warunkom zadośćuczynić. Żadne choćby najdokładniejsze elaborowanie amunicji śrutowej ręcznie nie zdoła wytrzymać konkurencji z produkcją fabryczną.

Oglądałem ze szczególniejszem zainteresowaniem gatunki nabojów, dostarczonych na zawody przez P. W. P., a wykonane przez Warszawską Spółkę My-

*) Ręczny karabin maszynowy (Przyp. red.).

śliwską w Warszawie i muszę wyznać, że były doskonałe. Te szczury*), rozbijane w proch na 50—60 kroków, a nawet dalej, przez naszych mistrzów, to była prawdziwa przyjemność dla obserwatora. Zresztą najlepsze świadectwo wystawia tej amunicji fakt, że na około 8000 wystrzelonych nabojów nie było ani jednego (!) niewypału, zaciągu, zacięcia się browningów i t. p. niefunkcjonowania naboju.

Przeglądałem dość wielką ilość wystrzelonych łusek, szukając, czy nie znajdzie się jakaś pęknięta — nie znalazłem żadnej.

Niniejsze fakty, cyfry i spostrzeżenia wystawiają tak Warszawskiej Spółce Myśliwskiej, jak i P. W. P. Pionki, najlepsze świadectwo.

C. *Wskazówki praktyczne dla początkujących zawodników.*

Jest rzeczą naturalną, że każdy musi przed zawodami przebyć pewien trening, który jest konieczny, by przyzwyczaić choćby oko do szybkiego i bezzwłocznego spostrzeżenia wylatującego rzutka. Chodzi bowiem o to, by go jak najrychlej wziąć na cel i rozbić jak najbliżej standu pierwszym strzałem, bo wówczas mamy w razie chybienia możność drugim strzałem na jeszcze skuteczną odległość około 50—60 kroków poprawić pudło. Wypuszczenie rzutka przed pierwszym strzałem na dalszą odległość w cichej nadziei, że rozszerzony snop śrutu jeszcze obejmie rzutek i w ten sposób niedokładność celowania do pewnego stopnia naprawi — jest błędem nietylko ze stanowiska możliwości poprawy pudła drugim strzałem, lecz także dlatego, że trafienie rzutka jednym, lub dwoma śrutami bocznemi często nie powoduje rozpadnięcia się jego i strzał zostaje zakwalifikowany, jako chybiony. Śruty boczne mają bowiem mniejszą szybkość i siłę przebijania, niż ziarnka centralne.

Co się tyczy numeru śrutu, to powinno się zasadniczo tak przy treningu, jak i podczas zawodów używać śrut Nr. 6 (2,5 mm), albowiem wytrzymałość rzutków jest tak wypośrodkowana, że właśnie ta grubość śrutu zupełnie do rozbicia rzutka wystarcza; śrut grubszy jest niedozwolony na zawodach, śrut drobniejszy trafia, ale nie zawsze rozbija. Zawodnicy szybko strzelający używają śrutu Nr. 7 o średnicy 2,25 mm. do prawej lufy (pierwszego strzału).

Jak wiadomo, najtrudniejsze do trafienia są rzutki, wypuszczane z wielką szybkością. Strzelec, o ile nie strzela z obu otwartemi oczami, spostrzega rzutek dość późno i strzela na dalszą odległość. Umiejętne założenie przed, lub nad krążek gra decydującą rolę w skuteczności strzałów. Wpływ oświetlenia jest też bardzo duży, zwłaszcza dla tych, którzy strzelają z zamkniętem jednem okiem. Wszystkie te trudności może pokonać tylko pilny i systematyczny trening.

Na poważniejszych zawodach strzela się w kilku serjach 100 rzutków w ciągu jednego dnia, t. zn. że, biorąc pod uwagę dublowanie, oddaje się przeszło 100 strzałów. Biada zawodnikowi, który zaraz w początkowych serjach, przykładając niedość silnie i niedość starannie broń do ramienia, lub przyciskając za silnie kość policzkową do kolby, dozna bolesnego stłuczenia ramienia, twarzy, lub wskazującego palca; wywołuje to bowiem bezzwłocznie zupełnie nieświadomą t. zw. obawę przed strzałem, objawiającą się odrywaniem twarzy od kolby w chwili strzału i opuszczaniem wylotu luf ku dołowi, a także nerwowem, niespokojnem naciskaniem języczka spustowego. Im więcej taki obtłuczony strzelec daje strzałów, tembardziej potęguje się ból obitych części ciała i rezultaty strzałów są coraz gorsze. Przypominam sobie na jednym z poważniejszych konkursów wiele obiecującego zawodnika, który po 30-tym strzale musiał wogóle dalszego strzelania zaprzestać.

To obicie najłatwiej spowodować przy strzałach do płaskich bocznych „szczurów", bo tu strzelec, usiłując strzelić w bok, wyprowadza często kolbę z jej właściwego położenia, osadzając ją na bicepsie.

Wkońcu jeszcze jedna uwaga — a to, aby dopiero przed strzałem, to jest po komendzie „daj", przycisnąć całą siłą broń do ramienia; im silniej broń do ramienia jest przyłożona, tem mniej odrzutu odczuwa strzelec, ale te wysiłki powinny ze względu na ekonomję sił trwać jak najkrócej.

Systematyczny trening pod fachowem kierownictwem tak, aby zaraz z początku wszystkie błędy wyeliminować, jest podstawą nietylko w strzelaniu do rzutków, ale także daje się odczuć na polowaniach na ptactwo.



Po polowaniu z foksami. Fot. St. Politalski.

Kończę te uwagi w nadziei, że wyjdą one na korzyść wielu adeptom strzelania do rzutków, a przedewszystkiem uświadomią wielu braci w św. Hubercie, na jakie odległości i z jakim skutkiem można broni śrutowej używać. To ostatnie jest rzeczą bardzo ważną i w niem leży praktyczna wartość tego pięknego sportu.

Ile razy bowiem słyszy się powiedzenie, że z tej, lub owej strzelby ruluje każdy zając na 120 kroków, a każda kuropatwa i kaczka do 100 kroków pewna!!!? Jest to zwykła, w swoich skutkach bardzo szkodliwa, blaga myśliwska, dla której podkładem są właśnie owe strzały na niemożliwą odległość, między któremi zupełnie przypadkowe trafienie zwierza jakimś pojedyńczym śrutem w głowę, arterję i t. p. powoduje jego śmierć. Ile jednak zwierzyny, która nam przecież nic złego nie uczyniła i która swój krwawy haracz sumiennie płaci, kaleczy się przez kiepskie strzelanie na wszelką odległość (zwykle dla osiągnięcia tych przeklętych rekordów), o tem wie św. Hubert i ten nieszczęsny postrzałek, który w mękach nieraz po kilku dniach ginie.

Z tego właśnie względu należy popierać sport do rzutków, jako doskonałą szkołę uświadomienia myśliwego o skuteczności działania jego broni, a ta szkoła uchroni go w dużym stopniu przed nieświadomie popełnianem, urągającem wszelkim zasadom etyki łowieckiej barbarzyństwem, jakiem jest lekkomyślne kaleczenie zwierzyny.

INŻ. WALERY MARYAŃSKI.

*) Szczury — w gwarze myśliwskiej — rzutki, puszczone z dużą szybkością tuż nad ziemią. (Przyp. aut.).

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

DELEGACI POWIATOWI.

Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich ogłasza niniejszem zatwierdzone kandydatury na Delegatów Powiatowych Związku:

w województwie białostockiem:

Józef Szczuka — Ostrów Maz., Zalesie — na powiat Ostrów Mazowiecki;

w województwie kieleckiem:

Tomasz Łaszkiewicz — Solec Zdrój, Zborów — na powiat Stopnica;

w województwie lubelskiem:

Tadeusz Gomuła — Miechów Lubartowski,
Paweł Władysław Seroczyński — Lubartów,
Aleksander Walencik — Lubartów,
— wszyscy trzej na powiat Lubartów;

w województwie łódzkiem:

Marceli Kokczyński — Zduńska Wola, Świerzyny,
Jan Szneider — Łask, Karszew,
Bronisław Walicki — Zelów, Krześlów;
— wszyscy trzej na powiat Łask;

w województwie nowogródzkiem:

Mjr. Romuald Borycki — Baranowicze. 26 pułk ułanów — na powiat Baranowicze,
Ludwik Henszel — Krupa, Wołdaciszki,
Wojciech Moraczewski — Subotniki, Zemosław,
Stanisław Skinder — Wawiórka, Bogdanowszczyzna — wszyscy trzej na powiat Lida;

w województwie warszawskiem:

Karol Grabowski — Drobin, Setropie — na powiat Płock;

w województwie wileńskiem:

Zygmunt Świętorzecki — Lebiedziew, Malinowszczyzna — na powiat Mołodeczno.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU RZESZÓW.

Stosunki łowieckie w powiecie.

W uporządkowanem u nas gospodarstwie łowieckiem zachwiała się w ubiegłym roku równowaga na niekorzyść zwierzostanów, a to z tej racji, że namnożyło się naraz moc strzelców i powstało znowu kilka nowych „Spółek Łowieckich".

Oprócz dwu zalegalizowanych towarzystw, opartych na statutach, a mianowicie: „Towarzystwa Myśliwych" z 14 członkami i „Wojskowego Klubu Myśliwskiego" z 17 członkami, działają także: „Spółka łowiecka masarsko-kolejowa", dwie spółki anonimowe i kilka chłopskich o nieograniczonej, jak zwyczajnie, liczbie członków. Gdy do tego dodamy strzelców, chodzących luzem i dzierżawiących swoje tereny, a polujących może aż nazbyt gorliwie i gdy sobie uświadomimy, że istnieje cały legjon kłusowników i wnykarzy, orzec musimy, że naszej zwierzynie dzieje się źle i że grozi jej zupełne wybicie. A nietylko od ludzi podąża to niebezpieczeństwo, ale także ze strony samej przyrody. Zimna i wilgotna wiosna, gwałtowne nocne ulewy w maju i w czerwcu zniszczyły mnóstwo gniazd kuropatwich z jajami i wytopiły setki młodzieży zajęczej; w dodatku różne choroby, na szczęście nie epidemiczne, wreszcie włóczące się po polach psy i koty sprawiły, że ilostan zajęcy zmniejszył się o 40%, a kuropatwi o 20% w porównaniu ze stanem w r. 1934.

Kryzys ekonomiczny zaciążył także na całokształcie naszej gospodarki łowieckiej. Ideowe „Towarzystwo Myśliwych", które obchodziło w r. 1930 pięćdziesięcioletni jubileusz swego istnienia i swej chlubnej działalności, a które jeszcze przed kilkulaty liczyło 32 członków czynnych, skupia dzisiaj zaledwie 14 płacących. Składa się bowiem z samych prawie urzędników, którzy z powodu ciągłej redukcji poborów muszą występować z szeregów św. Huberta i wyrzekać się z żalem umiłowanej rozrywki, jeśli nie na zawsze, to chwilowo, choćby pod wpływem jakiejś ułudnej, nieokreślonej nadziei, pozbywając się niekiedy nawet rynsztunku myśliwskiego. Instytucja sama zaś, robiąc bokami, rezygnuje raz po raz z dzierżawionych łowisk, redukuje do minimum straż łowiecką, zmniejsza premje za ostrzał drapieżników i za walkę z kłusownictwem, i czyni wszelkie możliwe oszczędności, byle się utrzymać jeszcze i przetrwać. Podobne kompresje zauważyć można i wśród ziemian.

Ciężkiem brzemieniem, godzącem w całą organizację prawidłowego łowiectwa, stały się obecnie uchwalone przez gminy zbiorowe tak zw. podatki od polowania w wysokości po 5 gr. od 1 ha. Nakazy płatnicze już gminy rozesłały, grożąc utartym u nas zwyczajem odrazu egzekucjami! Wobec taniości zwierzyny, zwłaszcza podstawowej, jaką są zające, ich słabego stanu, wobec wysokich jeszcze czynszów dzierżawnych, znacznych kosztów, związanych z zagospodarowaniem i ochroną łowisk i z urządzaniem polowań, stawka tego podatku jest dla trzeciej strefy stanowczo za wysoka i powinna wynosić najwyżej po 2 gr. od 1 ha. Toteż nic w tem dziwnego, że zarówno towarzystwa, jak i wszyscy właściciele, lub dzierżawcy obwodów wnoszą odwołania do Wydziału Powiatowego, składając rekursy i protesty, a w konsekwencji ich nieuwzględnienia wyrzekają się polowań i anulują kontrakty. Jest nadzieja, chociaż słaba, że może już w tym roku Wydział Powiatowy, mimo zatwierdzenia budżetów gminnych, ten niefortunny podatek nieco obniży, a na rok 1937 i na następne ustali go przecież na 2 gr. z 1 ha.

Niewiadomo jeszcze, co przyniesie nam najbliższa przyszłość podatkowa. Należy się obawiać, że łowiectwo nasze znaleźć się może w sytuacji bez wyjścia.

Dnia 25 maja ub. r. odbyło się w Rzeszowie posiedzenie organizacyjne Powiatowej Rady Łowieckiej, na którem rozparcelowano powiat pomiędzy siedmiu delegatów, przydzielono każdemu po dwie gminy zbiorowe, wybrano senjora w osobie p Jana Jędrzejewicza i omówiono bardzo szczegółowo wszystkie bolączki życia łowieckiego, jak kłusownictwo i wnykarstwo, posiadanie nielegalne broni po wsiach, zuchwalstwo kłusowników i zbyt łagodne wymierzanie kar za przestępstwa łowieckie Obecni na obradach: starosta powiatowy, p. Mieczysław Panglisz i komisarz policji państw. p. Witołd Nowakowski, przyrzekli swoje najdalej idące poparcie dla wszystkich zamierzeń Rady, zdążających do podniesienia prawidłowego łowiectwa w powiecie.

Jeżeli chodzi o walkę z kłusownictwem, przypominają mi się na tem miejscu słowa p. Hermana Goeringa, prezesa Rady Ministrów Trzeciej Rzeszy i protektora łowiectwa w Niemczech, wypowiedziane w dniu 20 stycznia 1934 do przedstawicieli prasy przy omawianiu nowej niemieckiej ustawy łowieckiej: ...„Zaopiekuję się osobiście każdym leśnikiem, gajowym, czy myśliwym, który, będąc w przymusowem położeniu, zastrzeli kłusownika. W przyszłości nikt się już pytać nie będzie o to, czy leśnik lub hodowca rzeczywiście w ostatniej chwili uprzedził kłusownika i ci pierwsi nie potrzebują czuć się w roli oskarżonego przed sądem. Kłusownik, który z bronią w ręku nie podda się natychmiast na wezwanie, musi wiedzieć, że żywot jego wisi na włosku, bo życie strażnika łowieckiego, chronione ustawą. jest dla mnie o wiele więcej warte, niż życie niesumiennego łajdaka, który zaskoczony, ażeby ujść zasłużonej karze, za nic sobie waży w częstych wypadkach życie i rodzinę strażnika i strzela do niego. Jak każdego policjanta biorę zawsze w obronę, tak w przyszłości zajmę się najgoręcej każdym strażnikiem".. (Vide: „Wild und Hund" N. 10 z dnia 9.3.1934, str. 117).

Na wspomnianej Radzie Łowieckiej poruszano także sprawę broni, w kórą mają być zaopatrzeni strażnicy łowieccy. Po dłuższej dyskusji zgodzono się na broń długą dla nich, rzecz oczywista, o ile który z nich okaże się godnym pełnego zaufania.

Gdyby delegaci powiatowi mieli dostateczne fundusze, czas i ochotę do częstego odwiedzania przydzielonych sobie gmin, informowania się na miejscu o sprawach łowieckich, ale przedewszystkiem możność skutecznej, niepapierowej, interwencji i jaką taką egzekutywę, płynęłaby z tego w swem założeniu pożytecznego czynnika społecznego rzetelna dla racjonalnego łowiectwa korzyść. Ale tego wszystkiego niema, niestety. Najbardziej zaś hamuje działalność delegatów brak poparcia ze strony kompetentnych czynników, a najczęściej towarzyszy ich poczynaniom kurtuazyjna, że się tak wyrażę, obojętność, lub przychylna neutralność. Nawet wydawanie kart łowieckich, które powinno się może załatwiać na podstawie opinji miejscowego delegata, odbywa się bez jego wiedzy.

„Spółka masarsko-kolejowa" wynajęła obwód wspólny w Klęczanach (powiat Ropczyce) Przylega on na znacznej przestrzeni do lasów w Mrowli i w Krzywej. Pod niemi właśnie obierają sobie członkowie spółki często stanowiska, by wieczorami, w nocy przy księżycu, lub o świcie strzelać z zasadzki do jeleni sarn, lisów i zajęcy. Ubili w ten sposób, jak mi meldowano, w ciągu lat trzech około 60 rogaczy, kilka jeleni i nieokreśloną liczbę zajęcy. I co pomoże w tym wypadku akcja delegata, gdy wszyscy tej sławetnej spółki członkowie wykupili sobie bez żadnych trudności w rzeszowskiem starostwie trzyletnie karty łowieckie? Pod względem prawnym są oni nawet w porządku, bo siedzą na swoim terenie, a strzelają do cudzej zwierzyny, wychodzącej z lasu, ale etyki myśliwskiej nie mają wcale, grzesząc nadto przeciwko ustawie łowieckiej, zabraniającej łowów po zachodzie słońca. Takich „wybijaczy" nie powinno się tolerować, albo przynajmniej wstrzymać im trzeba wydawanie kart łowieckich i na broń.

Jak dotąd, działalność delegatów objawiać się może jeno dobremi chęciami i być platoniczną. Życie, które nie jest bajką, stwarza inne zgoła warunki, niezachęcające bynajmniej nawet najbardziej gorliwych myśliwych do piastowania tej godności.

Stan zwierzyny.

W łowiskach powiatu, pomimo niesprzyjających warunków atmosferycznych, było kuropatw stosunkowo jeszcze dość dużo. Wśród nich strzelało się wprawdzie tu i owdzie sztuki wychudzone, z nastrzępionemi piórkami i nawet zawszone, w przeważających atoli wypadkach spotykało się liczne i liczebnie bogate stada. Niektórzy z naszych myśliwych ubijali ich po trzysta i więcej.

O tej naszej najmilszej zwierzynie, potrzebującej ludzkiej opieki, powinno się jednak bardziej pamiętać w czasie śnieżnej i mroźnej zimy, i koniecznie ją dokarmiać, sypiąc w miejscach odpowiednich odpadki z pod młynka, proso, nasiona traw, a zamiast paszy zielonej dając główki kapusty. Brak remiz polnych, tak uderzający właśnie u nas, sprowadza także zmniejszenie się powolne ilostanu tej zwierzyny, gdyż nie zapewnia jej ochrony przed napadem jastrzębia.

Z innej zwierzyny posiadamy jeszcze chowane na dziko bażanty, dzikie kaczki, pojawiające się, szczególnie na jesiennych przelotach, zwłaszcza krzyżówki i cyraneczki, kszyki i przepiórki, a w lasach północnej, nizinnej części powiatu — cietrzewie, w południowej zaś górzystej — jarząbki.

Z grubszej — są jelenie w Bratkowicach p. Stanisława Bala, ryczące jesienią całkiem normalnie, w Mrowli, w Budach Głogowskich, rzadkie dziki i liczne w dobrze strzeżonych rewirach — sarny.

Stan zajęcy średni — zależnie zresztą od lepszej, lub słabszej ochrony i opieki — ilościowo zmienny. Zdaje się, że tylko wspominane na wstępie przyczyny odbiły się w tym roku dość ujemnie na ich ilości, bo chorób zakaźnych nie zauważono.

Polowania.

Ze względu na różnorodność ubitej zwierzyny zaliczam do najlepszych w sezonie następujące polowania:

1) w dniu 30.10 u p. Jana Jędrzejewicza w lesie głogowskim ubito w 8 strzelb: 6 słonek, 10 zajęcy i rogacza. Strzelano do 19 słonek, a widziano 23. Przeszkadzał rzęsisty całodzienny deszcz.

2) w dniu 9.11 w Zwięczycy, w wiklinach nad Wisłokiem, dzierżawionych przez „Towarzystwo Myśliwych" ubito w 12 strzelb: 2 lisy, 10 bażantów (kogutów), 9 kuropatw, 1 kszyka i 20 zajęcy.

3) w dniu 14 listopada na dworskich polach, u p. Adama Uznańskiego, strzelono w 7 strzelb: 3 bażanty, 7 kuropatw i 73 zajęce.

4) w dniu 23 listopada na polach w Zarzeczu i Siedliszkach, u p. inż. Edmunda Jurkowskiego, ubito w 12 strzelb: 1 krogulca, 1 kaczkę krzyżówkę i 37 zajęcy. Do dwóch gołębiarzy spudłowano.

5) w dniu 14 grudnia w Przybyszówce na polach, dzierżawionych przez „Towarzystwo Myśliwych", strzelono przy udziale 15 myśliwych: 1 lisa (w kotle), 1 gołębiarza na kuropatwie, 3 bażanty i 84 zajęce.

6) w dniu 16 grudnia na polach Jasionki, u p. Jana Jędrzejewicza, ubito w 12 strzelb: 190 zajęcy.

7) w dniach 16 i 17 grudnia w Przewrotnem przeważnie w lesie, u p. Stanisława Politalskiego, ubito w 19 strzelb razem: 3 lisy i 98 zajęcy. Do dzików spudłowano.

8) w dniu 17 grudnia w Rudnej Małej w lesie, wzorowo zagospodarowanym, p. Stefana hr. Dąmbskiego, strzelono w 12 strzelb: 6 lisów, 5 bażantów i 35 zajęcy. W każdym miocie widzieliśmy dużo sarn, w jednym aż 18 sztuk w stadzie, nadto dwa kapitalne jelenie-byki i łanię.

9) w dniu 2 grudnia w Świlczy na polach, u p. Dra Adama Midowicza, ubito w 18 strzelb: 94 zające.

10) 30 grudnia w Woli Zgłobieńskiej w lesie u p. Dra Adama Midowicza, 25 myśliwych ubiło: 3 lisy, 1 jarząbka i 35 zajęcy.

Czarna stopa, ciepła pogoda, a nadewszystko plaga kłusownicza, bardzo aktywna w tych słabo strzeżonych rewirach, przyczyniły się do tak słabego rezultatu.

Jeszcze jedno polowanie odbyło się z końcem grudnia w Załężu, należącem już do ordynacji łańcuckiej, na którem miało paść w 3 czy 5 strzelb około 600 zajęcy i 200 bażantów. Dokładnych danych, niestety, nie posiadam.

Z powyższej kroniki myśliwskiej wynika, że zajęcy było znacznie mniej, niż w ubiegłych latach. Dla porównania przypomnę choćby tylko łowisko w Przybyszówce, gdzie w r. 1930 ubito w 6-ciu kotłach w jednym dniu 375 zajęcy, w r. 1934 jeszcze 125 zajęcy, a w ubiegłym sezonie tylko 84. W takim samym stosunku, albo i w gorszym, ubyło tej zwierzyny na wszystkich innych terenach.

Ale odbyło się także i takie jedno polowanie w Błażowej w lesie, na którem ubito w 8 strzelb i przy 50 ludzi naganki 2 (dwa) zające! Może obfita okiść tu zawiniła, może śruty szły krzywo... albo co innego się stało. Jeden zając kosztował wówczas 35 zł!

Mimochodem można w tem miejscu zaznaczyć, że nastroje polowaniowe były naogół, nawet wtedy, gdy zajmowano najpewniejszy miot, bo przy stole — dość smutne, powiedziałbym. minorowe, całkiem nie takie, jak dawniej!

Z powodu styczniowej „wiosny" wiele polowań odwołano, albo je zakończono już z dniem 20 stycznia, by nie przeszkadzać zającom w rozpoczętych na dobre godach weselnych.

Z obowiązku delegackiego zanotować muszę, co następuje:

W jednym z kwietniowych n-rów ogłosił I. K. C. kalendarzyk łowiecki na maj, a w nim uwagę, że rogacze wolno strzelać już od 20 kwienia. I znowu mylna informacja i sprzeczność z aktualnem rozporządzeniem Ministerstwa Rolnictwa, według którego wolno było strzelać rogacze w r. 1935 dopiero od 1 czerwca. Źle jest, jeśli redakcje niektórych naszych dzienników zmieniają na własną rękę czasy ochronne, choćby opierając się na przestarzałych już przepisach ustawy łowieckiej.

Wielką przysługę oddają myśliwym druczki z czasami ochronnemi, sprzedawane corocznie w starostwach po 10 gr. za sztukę. Jest to pożyteczna inowacja ku wygodzie myśliwych, wprowadzona przez naszą Centralę w Warszawie.

Ciekawsze wydarzenia przyrodnicze.

Z końcem grudnia ubito zajęczycę, która miała w sobie troje zupełnie wykształconych młodych. W lesie w Przewrotnem odebrał gajowy w dniu 5 czerwca lisowi żywego rogaczyka. Rudy rabuś aportował go dla swoich młodych do jamy. Uratowane koźlątko, nieuszkodzone i zdrowe, wziął właściciel na wychowanie. Żyje do dzisiaj.

Z końcem września, gdy polowałem na kuropatwy, zobaczyłem przed sobą w ziemniakach dużego kota, umykającego z zajączkiem w pysku. Rzecz prosta, że kocur przepłacił zaraz życiem swój niecny wybryk, tak zresztą powszechny u tych drapieżników.

WŁADYSŁAW GÜRTLER,
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Rzeszów.

Z POINTER KLUBU W POLSCE.

Zarząd Klubu zawiadamia, że doroczne Walne Zgromadzenie członków odbędzie się w dniu 2 kwietnia r. b. o godzinie 8-ej wiecz., w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Warszawie (Nowy Świat 35).

Po zakończonych obradach o godz. 9 m. 30 wiecz., dla członków i gości zostanie wygłoszony przez dr. Marjana Bielawskiego odczyt p. t. „Czego wymaga się od psa na field-trialsach", poczem nastąpi towarzyska biesiada. Wstęp na odczyt bezpłatny.

Tegoroczne field - trialsy odbędą się w dniu 19 kwietnia o godz. 8-ej rano. Zapisy przyjmuje Sekretarjat Klubu, Nowy Świat 35, do dnia 8-go kwietnia r. b. Bliższe szczegóły zostaną podane w następnym numerze „Łowca Polskiego".

Wiadomości hodowlane.

Splendor Warta, wł. p. H. Grodzkiego, została pokryta Marbiel Gryffem, inż. J. Kieffera i w dniu 12 grudnia 1935 r. oszczeniła się, dając 2 suczki i 4 psy.

Bolmil Fit (Skogis Pampas — Blackfield Fate), wł. p. prof. dr. T. Marchlewskiego, została w dniu 22.I. r. b. pokryta psem Herry (Blackfield Drop — M. Lecla).

Kujavia Blamage, hodowli p. prof. dr. T. Marchlewskiego, została w dniu 18.II. r. b. pokryta psem Kujavia Happy End.

Cyganka, wł. p. St. Czerskiego, została pokryta Boyem, wł. Jana ks. Druckiego Lubeckiego i oszczeniła się w dniu 27.II. r. b., dając 8-ro szczeniąt: 4 psy i 4 suki; pozostawiono do chowu 4 psy i 2 suki.

Z KLUBU SETTRA ANGIELSKIEGO W POLSCE.

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI ZA 1935 R.

(Dokończenie).

Sprawy hodowlane.

Na dzień 1. I. 36 r. zarejestrowano setterów angielskich 62, (27 psów i 35 suk), 3 settery inrlandzkie i 1 gordon, razem 66 psów.

W porównaniu do lat ubiegłych wpisano do Księgi Rejestracyjnej Klubu: w 1932 r. — 4, w 1933 r. — 10, w 1934 r. — 11 i w 1935 r. — 41. Z 41 psów zarejestrowanych w ciągu roku 1935 przypada na settery angielskie 37 wpisów, na irlandczyki — 3, a na setter gordony — 1.

Powyższe dane wyraźnie wskazują, że rozciągnięcie opieki Klubu nad setterami irlandzkiemi i gordonami nie miało powodzenia.

Z pośród zarejestrowanych setterów angielskich zostały wykorzystane w r. 1935, jako reproduktory:

Nr. 6 *Surprise Gem* — Z. Tarnowskiego 2 razy,
Nr. 22 *Surprise D'H* — b. W. Rzewuskiego 1 raz.
Nr. 23 *Grigg of Otham* — S.Piłsudskiego 4 razy.
Nr. 24 *Baby* — L. Briesemeistra 8 razy.

Do zarejestrowania zaś zostało zgłoszone potomstwo po następujących sukach:

Nr. 1. *Musa* — S. Piłsudskiego,
Nr. 2. *Surprise Rouge* — B. Przychodźki,
Nr. 7. *Nora* — H. Kasperowicza,
Nr. 9. *Alma* — b. A. Leżańskiego,
Nr. 12. *Alma* — Dr. J. Borowskiego,
Nr. 15. *Dolly* — b. B. Staszewskiego.

Według ustalonej tradycji klubowej w ubiegłym roku do dyspozycji Klubu zostało łaskawie zaofiarowane przez p. Kazimierza Piłsudskiego szczenię — suka własnej hodowli po „Grigg of Otham" i „Lady", otrzymanej w swoim czasie od Klubu.

Za przykładem lat ubiegłych zaofiarowane szczenię zostało bezpłatnie rozlosowane w dn. 10 września pomiędzy 12 członków Klubu, którzy na wezwanie Zarządu Klubu wyrazili chęć do bezpłatnego otrzymania szczenięcia.

W wyniku losowania szczenię przypadło p. H. Grodzkiemu.

Próby polowe.

Ubiegły rok sprawozdawczy pod względem prób polowych przeszedł pod znakiem prawie zupełnego wycofania się setterów angielskich z pola walki.

Nikła ilość przychówku w roku 1933, oraz brak odpowiedniego treningu dorosłych psów spowodowały, że na wiosennych field-trialsach, mających zasadnicze znaczenie dla selekcji, materjału hodowlanego, zarówno jak i na próbach dla psów użytkowych w jesieni, settery angielskie świeciły swoją nieobecnością.

Na odbytych 2ch field-trialsach Klubu Settra Angielskiego w Polsce i Pointer Klubu, oraz na jesiennych próbach urządzonych przez T-wo Hod. Psów Myśliwskich w Warszawie i miejscowe Kółko Myśliwskie w Białymstoku, brały udział tylko 2 settery ang., a mianowicie „Surprise Gem" — Z. Tarnowskiego i „Aza Mont-joie" dra L Malickiego.

Na field-trialsach Klubu „Surprise Gem" zajął czwarte miejsce („rezerwa") na field-trialsach Pointer Klubu — otrzymał zaświadczenie polowe, na próbach T-wa Hod. Psów Myśliwskich — drugą nagrodę, oraz na próbach w Białymstoku — trzecią.

Suka dr. L. Walickiego — „Aza Mont-joie" brała udział tylko w jesiennych próbach i otrzymała w Warszawie trzecią nagrodę.

Przechodząc do szczegółowego sprawozdania z field-trialsów Klubu, odbytych w dn. 29.IV.35 jak zwykle w Wilanowie, Zarząd Klubu przedewszystkiem poczuwa się do obowiązku złożenia na tem miejscu Adamowi hr. Branickiemu najserdeczniejszego podziękowania w imieniu Klubu za życzliwe ustosunkowanie się do jego potrzeb i stałe udzielanie terenów dóbr wilanowskich dla urządzania field-trialsów.

Do zawodów dla młodych psów stanęły 4 pointery i 1 setter irlandzki.

Nagrodę „Derby" uzyskał czarny pointer „Irokez" hod. S. Czerskiego. Drugie miejsce nie zostało obsadzone.

Dopiero na trzecie miejsce wyszedł pointer A. Siedliskiego — „Marbiel Imp", „rezerwę" zaś otrzymał brat poprzedniego — „Marbiel Ingar" — T. Tomaszewskiego.

W klasie otwartej brało udział 7 pointerów, 1 setter irlandzki i 1 setter angielski.

Pierwsze miejsce zajął pointer J. Kieffera — „Marbiel Gryff", drugie — „Marbiel Ingo" — B. Gędziorowskiego, trzecie — „Splendor Bey" — pointer W. Wattsona, „rezerwe" otrzymał setter ang. „Surprise Gem." — Z. Tarnowskiego i wkońcu zaświadczenie polowe — pointer A. Brudnickiego „Splendor Arja".

Sędziami byli: Dr. J. Gryminski, inż. J. Wodziński i K. Kamieński.

Wśród cennych nagród, łaskawie udzielonych do dyspozycji sędziów, największe powodzenie w obydwóch klasach miała nagroda Zakładów Amunicyjnych „Pocisk", ofiarowana w postaci nabojów marki „Darzbór", jako symbol łączności hodowli setterów angielskich ze światem myśliwskim.

Stała ofiarność Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" na rzecz field-trialsów Klubu zasługuje na szczególne uznanie, nietylko jako wyraz życzliwości dla Klubu, lecz również jako dowód szeroko zrozumianej solidarności organizacyj, skupiających się dokoła łowiectwa.

Oprócz pomienionych nagród Zakładów Amunicyjnych „Pocisk" do dyspozycji sędziów zostały łaskawie zaofiarowane medale przez T-wo Hodowli Psów Myśliwskich i Pointer Klub, oraz cenne nagrody przez Dra M. Łabędzia, inż. J. Wodzińskiego, Z. Tarnowskiego i skład broni „Łowiec" w Warszawie.

Ostatnie 3 nagrody, jako specjalnego przeznaczenia, nie zostały rozegrane i pozostały w dyspozycji Klubu na field-trialsy 1936 roku.

Wystawy.

W wystawie, urządzonej w ubiegłym roku w Warszawie przez Polski Związek Hodowców Psów Rasowych w dn. 1 — 4 czerwca na Dynasach, Klub Settra Angielskiego nie brał udziału, wobec czego dział setterów nie został należycie reprezentowany.

Z ogólnej liczby 5 wystawionych setterów angielskich (3 poza konkursem) w kl. otwartej i młodzieży dyplom na medal srebrny otrzymał „Kick Mont-joie" hod. członka Klubu Dra L. Walickiego, oraz w klasie psów, urodzonych w kraju — list pochwalny „Lord" — J. Cebrzyńskiej.

Sprawy wewnętrzne.

Z uwagi na szczupłość środków materjalnych, Zarząd Klubu w roku sprawozdawczym nie miał możności wznowić rozsyłania miesięcznych komunikatów, których wydawanie zostało zaniechane w r. 1934.

Natomiast sprawozdania z działalności Klubu były drukowane zarówno w „Łowcu Polskim", jak i w piśmie „Mój Pies", oraz rozsyłane członkom Klubu.

W celu dostarczenia członkom Klubu literatury kynologicznej Zarząd Klubu, z inicjatywy członka Zarządu p. A. Brudnickiego, założył bibljotekę Klubu, umieszczoną narazie w czytelni p. L. Briesemeistra (ul. Pierackiego 15) i w celu jej kompletowania w tem miejscu odwołuje się do ofiarności członków Klubu.

Reasumując powyższe, Zarząd Klubu jest zdania, że okres sprawozdawczy zawiera elementy nowe i istotne w życiu organizacji, oraz, że rozwinięcie i wyzyskanie tych elementów dla dobra kynologji polskiej powinno stać się zadaniem najbliższej przyszłości.

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI RADZYŃSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO ZA ROK 1935.

Radzyńskie Towarzystwo Łowieckie liczyło w okresie sprawozdawczym 22 członków. Zarząd składał się z 7 osób. Zebranie ogólne odbyło się — 1; posiedzeń zarządu 2.

Towarzystwo dzierżawi tereny o obszarze ca 5.000 ha, składające się z 4 obwodów łowieckich. Dążeniem Towarzystwa jest wydzierżawiać obwody w ten sposób, by uzyskać jednolity kompleks terenów.

Ze względu na brak funduszów i fakt, iż Towarzystwo wznowiło swą działalność w 1934 roku, nie było możności przeprowadzić żadnej hodowli zwierzyny, zakładać poletek i remiz. Z tego też powodu opieka nad obwodami łowieckiemi powierzona była tymczasowo zarządom Spółek Łowieckich danych obwodów. Obecnie projektuje się wprowadzenie strażników łowieckich.

Na dzierżawionych terenach organizuje się polowania zbiorowe. Wyjątek stanowiło polowanie na kury, w pojedynkę, na co przeznaczono jeden obwód.

Dołączone zestawienie obrazuje wyniki polowań.

Poza polowaniami, Towarzystwo zorganizowało w dniu 30 czerwca 1935 konkurs strzelania do rzutków w Radzyniu, z którego sprawozdanie umieszczone było w Nr. 22 „Łowca Polskiego" z r. ub.

ZESTAWIENIE POLOWAŃ

Data	Ilość strzelb	Obwód łowiecki	zajęcy	kur
23.XI.35	10	Bezwola — I	20	15
15.XII.35	14	Kolonja Biała	20	—
22.XII.35	14	Radzyń — I	14	—
5.I.36	11	Radzyń — II	34	—
28.I.36	4	Bezwola — II	8	—
31.I.36	9	Radzyń (część), Paszki D. Zabiele	16	—
1.IX—15.X.35	9	w pojedynkę—Radzyń i kolonje Biała		368
razem	71	razem	112	383

R O Z M A I T O Ś C I.

CZEM ŻYJE GAWRON?

Niemiecki zoolog Bürig zbadał w różnych porach roku 1522 żołądki gawronów. Zawierały one łącznie 12,706,5 gr. pożywienia, w czem 3075,5 gr. (24,2%) stanowiły ziarnka piasku, 5963,5 (46,9%) substancje roślinne i 3235,5 gr. resztki zwierzęce (25,5%). Pszenica stanowiła 11,8%, żyto 3,6%, owies 18,4%, jęczmień 13,6%.

Z ogólnej ilości badanych gawronów zaledwie 2,5% posiadało w żołądkach resztki myszy, natomiast 54,6% było tępicielami szkodliwych owadów i pędraków. Spożycie szkodliwych owadów określił Rürig cyfrą 2801,5 gr. czyli 86,6% ogólnego spożycia zwierzęcego, a 22% całego spożycia wogóle.

Wyżej przytoczone cyfry stanowić mogą ważny przyczynek do uznania nieszkodliwości gawrona w łowiectwie.

W. K.

SZTUCZNA HODOWLA CIETRZEWI I GŁUSZCÓW.

Nawiązując do poprzednich notatek o próbach sztucznej hodowli cietrzewi, które swego czasu opublikowałem w „Łowcu Polskim", pragnę dodać jeszcze parę uwag, a przedewszystkiem poinformować o losach dwóch piskląt, wylęgłych u mnie ubiegłej wiosny.

Jak widać z załączonych zdjęć, pisklęta te (kogut i cieciorka) żyły zupełnie zdrowo przeszło dwa miesiące, wyfarbowały normalnie, lecz, niestety, z końcem trzeciego miesiąca obydwa padły w odstępach kilkodniowych.

Sekcja, wykonana przez Zakład Weterynarji Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykazała w obu wypadkach kataralne zapalenie jelit, wywołane bezwątpienia nieodpowiedniem pożywieniem. Nadmieniam, że w obszernej woljerze (200 m.²), w której chowałem ptaki, nie brakowało jagód wszelkiego rodzaju, owocujących krzaków jałowca i tarniny, a zdrową i niezapleśniałą tatarkę i owies dostawały stale w niewielkiej ilości. Wobec powyższego należy chyba przypuszczać, że rozmaitość pożywienia była jeszcze za mała, a może brak zupełnej swobody wpływał ujemnie na zdrowie ptaków.

W każdym razie doświadczenie wykazuje, że przy nakładzie znacznych starań możnaby zaprowadzić w terenie cietrzewie przez sztuczny ich wylęg i wypuszczenie po wypierzeniu, lecz sposób ten byłby bardzo kłopotliwy, niepewny i bezwzględnie niewynagradzający poniesionych trudów.

Ubiegłej wiosny robiono kilka prób sztucznego wychowu cietrzewi, lecz wszystkie skończyły się niepowodzeniem. Pisklęta, otrzymane przez p. Nadl. Lazara w Krośniewicach, inż. Friedberga w Lesie Wolskim pod Krakowem i gajowego prywatnych dóbr pod Oświęcimiem, padły w kilka dni po wylęgnięciu.

Natomiast sztuczny wychów głuszców udał się zupełnie dobrze w nadleśnictwie Druskieniki koło Grodna, gdzie wychowano z jajek i wypuszczono do lasu 7 zupełnie zdrowych głuszców. (Inż. T. Kulesza, Kalendarz Leśny na rok 1936).

J. MARCHLEWSKI.

NARADA ŁOWIECKA W BRZEZINACH.

Z inicjatywy Pana Starosty Tadeusza Reindt'a i pod jego przewodnictwem odbyła się w dniu 18.XII.35 r. w lokalu starostwa pow. w Brzezinach konferencja przedstawicieli łowiectwa, przy udziale pp. mjr. Marjana Maksymiljana Prelicza — prezesa Sekcji Myśliwskiej Wojsk. Klubu Sport. w Łodzi, inż Antoniego Tatara — nadleśniczego z Brzezin, Ryszarda Firstenwalda — delegata P. Z. S. Ł., Józefa Ruki — wicestarosty, Stefana Fichny — komis. pow. p.p. i Edwarda Szwarcszulca wł. maj. Małczew.

Pan Starosta w trosce o łowiectwo pobudził czynnik społeczny, aby na wspólnej konferencji omówić zagadnienia łowieckie w powiecie, celem usunięcia niedomagań oraz roztoczenia należytej opieki nad gospodarstwem narodowem, do którego zalicza się również łowiectwo.

Wynik konferencji dał bardzo dobre rezultaty, bowiem zebrane materjały posłużyły do wydania szeregu zarządzeń w dziedzinie łowieckiej, zmierzających do podniesienia zwierzostanu. Na konferencji tej powołano do życia czynnik społeczny, jako organ doradczy, którego zadaniem będzie współpraca z władzą państwową przy regulowaniu spraw łowieckich w powiecie.

Łowiectwo powiatu brzezińskiego do zamierzeń Pana Starosty odnosi się z pełnem uznaniem i przyjdzie z pomocą do osiągnięcia jak najlepszych rezultatów dla podniesienia zwierzostanu i wychowania społecznego w dziedzinie łowiectwa.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Juljan Fałat: Pamiętniki. Warszawa 1935. Str. 209. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Cena 6 zł.

Juljan Fałat, to jeden z tych niewielu genjuszów naszych, którzy pozostawili po sobie własny pamiętnik. Już sam wstęp „Pamiętnika" daje nam zwierciadło duszy tego niepospolitego artysty: „Otóż to opisane moje życie — pisze on — będzie tą powieścią, ale prawdziwą i przeżytą w rzeczywistości, w której przytoczone nieraz sytuacje wyglądają na cudowne zrządzenia, aby moje dzieci, wnuki i młodzież polska, która je będzie czytać, czerpała moc i wiarę w poczynania z ducha, z miłości ojczyzny i ludzi, z pogody życia, a szukała tej pogody w spełnieniu swych obowiązków, w otoczeniu, w przyrodzie i w zacnych sercach".

Syn organisty i bakałarza wiejskiego z tyką w ręku bronił ogrodu przed najściem domowych zwierząt, spędzał kury z grzęd, a potem pasał bydło. Miał z nim ojciec istne urwanie głowy. Juljan pisze o sobie, że „na świecie nie znalezionoby może drugiego dziesięcioletniego chłopaka, któryby otrzymał tyle kijów, cybuchów i rózg, co ja". W stajni w szopie i na polach, z któremi jako pastuch miał wiele do czynienia, robił artystyczne obserwacje. Tuligłowy, szkoła we Lwowie, Komarnie, Przemyślu, Szkoła Sztuk Pięknych w Krakowie, gdzie znosi głód i chłód, żywiąc się nieraz schwytanym i własnoręcznie upieczonym kotem. W dojrzałym wieku zasiada przy książęcych stołach. Cesarz Wilhelm darzy go poufałą przyjaźnią. Na kartach „Pamiętnika" przesuwa się ukochanie nietylko Sztuki i Natury, ale też niespożyta radość życia we wszystkich jego objawach.

Fałat jest niezrównanym malarzem myśliwskim. Jako pacholę kochał las, pola i oczerety. W rodzinnych Tuligłowach uciekał zawsze na staw, znajdujący się pośrodku wsi, gdzie w szuwarach żyły tysiące dzikich kaczek, łysek i kurek wodnych. Będąc chłopakiem w Komarnie, unikał często szkoły dla pięknych okolicznych obrazów przyrody. Tu po raz pierwszy wybrał się na polowanie na kaczki z pożyczoną dubeltówką. W 1872 r. wyjechał zagranicę, do guberni Chersońskiej, gdzie za dwa i pół rubla nabył swą pierwszą strzelbę, długą jak topola, przerobioną z mikołajewskiego karabina. Pomimo swej najprymitywniejszej konstrukcji, fuzja ta dała Fałatowi wiele rozkoszy i przeżyć myśliwskich. Uzbrojony w nią, napędzał strachu wilkom, dropiom i zającom stepowym.

W roku 1886 książę Antoni Radziwiłł zaprosił do Nieświeża na polowanie na niedźwiedzie księcia Wilhelma Pruskiego. Tu znalazł się także Fałat, ten niespokojny człowiek, który długo na jednem miejscu usiedzieć nie potrafił. Wszędzie go nosiło. W Nieświeżu zapanował niepowszedni ruch i ożywienie. Cała okolica mówiła: „To niemiecki car pryjichaw na ochotu do kniazia Radziwiłła". Przed gankiem szereg radziwiłłowskich myśliwych w pełnym rynsztunku. „Widać, że polowanie u Radziwiłła to wielkie święto. Uwagę moją — pisze Fałat — przykuwają strażnicy mateczników, prawdziwe wyrwidęby". Radziwiłłmonty... Deniskowicze... któż nie zna tych dawnych, mrocznych ostępów niedźwiedzich! Abłamowicz dyryguje polowaniem. Padają strzały. Fałat jest wśród świty myśliwskiej księcia Wilhelma Pruskiego, który mu nie szczędził swych artystycznych obserwacyj. Pierwszego niedźwiedzia położył książę Maciej, zagrała w nim krew Radziwiłłowska i nie wytrzymał. Mała to była sztuka, a książę, chcąc się wytłomaczyć ze swego niewłaściwego strzału, którym pozbawił księcia pruskiego satysfakcji zastrzelenia niedźwiedzia rzekł: „*Monseigneur, les petits ours sont pour moi, les grands pour Votre Altesse*". I rzeczywiście, następnego dnia książę pruski powalił olbrzymiego niedźwiedzia. Pod niebo buchnęły słupy dymu z płonących w dali ognisk, zwiastujących koniec polowania. Książę Wilhelm promienieje z radości i z podziwem przygląda się istnemu potokowi naganki, która, napływając z różnych stron, otacza myśliwych i ogniska. Niezapomniane obrazy. Splendor i przepych. Tak polowali pięćdziesiąt lat temu Radziwiłłowie. Wszystko to widział Fałat i jeszcze tego samego dnia robił szkice. Ogólny rezultat czterotygodniowego polowania był ten, że oprócz trzech niedźwiedzi, zabitych przez księcia pruskiego i jednego, zabitego przez jego adjutanta — padło jeszcze kilkanaście innych, a nadto parę zabawnych młodych niedźwiadków wpadło żywcem w ręce myśliwych. Było to ostatnie prawdziwie radziwiłłowskie polowanie, które zrobiło Fałata zupełnie innym artystą. Tak pisze on o tych cudach:

„Przeżycie czterech tygodni w puszczy, zasypanej głębokim śniegiem, wśród mrozów dochodzących do 18°, upolowanie 19 niedźwiedzi wśród zmieniającej się wciąż scenerji, tłumy naganki, malowniczość ostępów, tężyzna myśliwych, charakterystyka niezwykłych postaci — wszystko to znalazło wyraz w moich obrazach i szkicach, w których pokazałem swój pełny rozmach".

Z rozpoczętemi w Warszawie pracami, mającemi związek z polowaniem, powrócił artysta niebawem do Nieświeża, gdzie znalazł godne przyjęcie. Tu malował nietylko w samym Nieświeżu, ale i na terenach myśliwskich, przygotowując wystawę w Berlinie, o co książę pruski upominał się listownie i telegraficznie.

Jesienią 1886 r., na podstawie telegramu księcia pruskiego, wyjechał Fałat do Berlina z obrazami z polowań na niedźwiedzie w Nieświeżu. Książę w tym czasie polował w Hubertusstock — dokąd nasz artysta udał się niezwłocznie. Książę był zachwycony obrazami mistrza, które — wystawione w Berlinie — spotkały się z nadzwyczaj przychylną krytyką. Dziesięć lat należał Fałat do mieszkańców Berlina, przez dziesięć lat jeździł dwa razy w roku do Hubertusstock, na polowania cesarza Niemiec. Były to polowania na jelenie w czasie rykowiska, a także na spędzane zające i bażanty, przy udziale królów i dygnitarzy świata. Cesarz chętnie polował z tak zwanych „Hochstände" (czatowni), wówczas miał już ponad dwa tysiące zabitych jeleni, a fakt zabicia dwutysięcznej sztuki, został utrwalony na sztucerze... W niedziele nigdy cesarz nie polował. A Fałat malował i malował — przewspaniałe sceny myśliwskie. Wiele obrazów jego nabył cesarz Niemiec, darząc naszego wielkiego artystę tytułem „Freund" (przyjaciel). Wrażeń z polowań odniósł Fałat przeogromną moc, jak mało który z myśliwych, tem więcej, że wolał malować, polować i żyć w budanach leśnych, niż przebywać w salonach arystokratycznych.

„Pamiętniki" Fałata — kreślone barwnem i obrazowem piórem — dają czytelnikowi prawdziwą biesiadę duchową. Czyta je myśliwy, jak najpiękniejszą epopeję, sam się z autorem przenosi w przebrzmiałe czasy, towarzyszy mu w jego wyśnionych chyba polowaniach, a gdy wreszcie zamyka te „Pamiętniki" — pada ciężkie westchnienie... Niewiadomo, czy wrócą w Polsce polowania tak niedawnych jeszcze lat.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Znowu na rynku księgarskim ukazała się książka, która nietylko powinna, ale wprost musi zainteresować wszystkich miłośników przyrody i myśliwych. Tą książką jest powieść: Józefa Bieniasza, p. t. „*W puszczy nad Salatrukiem*", wydanat we Lwowie nakładem Książnicy Leopolda. Stron 298.

Autor tej książki wykazał w swojem arcydziele, bo tak można tę książkę nazwać, tak wielką znajomość życia niedźwiedzia, że bez przesady porównać go można z wielkim Curvoodem. Jego opowieść mówi o niedźwiedziu, złapanym przez dziwnych mieszkańców puszczy nad Salatrukiem, który oswoił się z ludźmi, potem, zażywszy w okresie godowym emocji miłosnych, po powrocie z puszczy zastał tylko spalone słupy leśniczówki, gdzie stale przebywał; gdy go zaczęto szczuć i tropić, stał się postrachem całych Karpat. Złapany przez cyganów, męczony i bity, w swej wędrówce zaszedł wreszcie pewnego dnia znów do okolic, gdzie go wychowano. Pastuch Pietrek poznał go. Poznał też pastucha i niedźwiedź, i został u swych dobrych, starych znajomych.

Opowieść dziwna, piękna, chwytająca za serce każdego, komu krzywda zwierzęcia nie jest obojętną. Autor wykazał w swej pracy tak olbrzymie wartości przyrodoznawcy, że warto go zaliczyć po tem jednem dziele do rzędu czołowych pisarzy myśliwskich. Przypominają się opowiadania ś. p. Juljana Ejsmonda p. t. „W puszczy".

Sylwetki innych zwierząt, których opisem zajmuje się autor tej świetnej książki, są wspaniale wycyzelowane. Autor znakomitem swem piórem wykazał olbrzymią wiedzę o naszych zwierzętach, zamieszkujących Karpaty.

A jego pies Rozbój to jeden wielki pean na cześć największego przyjaciela człowieka — psa.

Rozdział o pszczołach jest świetny. Nie uchybię nic Meterlinckowi, gdy powiem, że wart jest pióra, nawet tego największego znawcy „złotych owadów".

Nas myśliwych powinna i musi zainteresować ta książka. Świat zwierząt jest w niej taki prawdziwy i bez dopatrywania się w zwierzęciu najniższych instynktów.

Praca p. t. „W puszczy nad Salatrukiem" nie jest pierwszą pracą Józefa Bieniasza. Już przedtem wydał on kilka swoich powieści i utworów teatralnych, ale mam wrażenie, że nazwisko jego przejdzie do literatury dzięki właśnie tej ostatniej pracy. Oby nie była ostatnią w serji tego rodzaju.

Dobrzeby było, gdyby jeden z największych znawców Karpat i niedźwiedzia, dr. Władysław Burzyński, zainteresował się tą książką i zechciał napisać o niej kilka słów. Jest to bowiem książka, jakiej od niepamiętnych czasów nie widzieliśmy.

Literatura myśliwska wzbogaciła się o jeden wielki poemat o życiu zwierzęcia.

Książka wydana jest bardzo starannie, zdobi ją sporo ilustracyj Romana Gnaedigera. Niestety, ilustracje nie odpowiadają poziomowi treści.

*

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Rój" ukazała się nowa książka A r k a d e g o F i e d l e r a, p. t. „*Zwierzęta z lasu dziewiczego*". Stron 229. Ilustracje wykonali: Jan Wroniecki, Antonina Niemczewska i Regina Przybyszewska.

Arkady Fiedler jest autorem licznych opowiadań na tle swoich podróży do Ameryki Południowej. Jest on autorem typowo naracyjnym, niezmiernie rzadko wdającym się w jakieś roztrząsania refleksyjne. Jego opowiadania mają charakter typowo fotograficzny. I jak na fotografjach, niekażde zdjęcie jest równe, tak i jego opowiadania nie są równe. Skala tych opowiadań jest niezmiernie szeroka. Są rzeczy bardzo dobre i rzeczy bardzo słabe.

„Zwierzęta z lasu dziewiczego" dziwnie odbiegają od całego szeregu innych opowiadań — są przedewszystkiem bardzo równe i wszystkie dobre.

Autor patrzy na zwierzęta z punktu widzenia estetycznego, a następnie dopiero, nasyciwszy swój wzrok, zaczyna kombinować, co dane zwierzę jest warte z punktu widzenia zdobyczy muzealnej. Bo Fiedler to nie myśliwy, choć typowy łowca przygód, a równocześnie zbieracz muzealny. Zresztą jego wycieczki subsydjowane są przez polskie muzea przyrodnicze. Fiedler jeździ po coraz nowsze zdobycze. Nie jest jednak naukowcem. I to jest w oczach jednych jego wadą, dla jego zaś opowiadań wielką zaletą. Nie przeciąża on bowiem swych prac suchemi wiadomościami z dziedziny nauki ścisłej, lecz opowiada swoje przeżycia i swoje wrażenia bezpośrednio. Jest to bajka nie na tle fantazji wysnuta, lecz na podstawie realnych obserwacyj.

Jego zwierzęta mają nieokreślony urok egzotyzmu, który pociąga każdego myśliwca. Niestety, tylko nieliczni mogą sobie na takie wycieczki pozwolić. Fiedler co roku gdzieś wyjeżdża. Ostatnio wrócił niedawno z Kanady. Mamy nadzieję, że i ta podróż przyniesie literaturze zwierzęcej coś nowego.

„Zwierzęta z lasu dziewiczego", jak wszystkie wydawnictwa „Roju", wydane zostały bardzo starannie.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

WILD UND HUND.

Nr. 56/1936 str. 1220. „*Wytyczne dla wypróbowania wartości użytkowej psów myśliwskich*". Nowe prawo łowieckie Rzeszy wymaga, aby właściciel obszaru łowieckiego od 500 ha. i wyżej posiadał użytkowego psa myśliwskiego, zaś właściciel obszaru od 2500 ha i wyżej — tropowca, albo ułożonego do tropienia psa użytkowego. Dla uznania psa myśliwskiego za użytkowego może łowczy krajowy poddać go próbom, które powinny być prowadzone z uwzględnieniem następujących wytycznych.

Kandydatom, poddawanym próbie, powinny być stawiane wymagania, odpowiadające ściśle warunkom tego łowiska, w którem ma on pracować. Zbędnem jest żądanie umiejętności tropienia od psa, używanego wyłącznie do polowań polnych. Jedynemi cechami, obowiązującemi każdego psa myśliwskiego, są: właściwe zachowanie się po strzale oraz posłuszeństwo. Psy, przeznaczone do polowań tylko w polu, muszą wykazać umiejętność wystawiania zwierzyny, aportowania zwierzyny ubitej oraz dochodzenie postrzałków. W tych jednak wypadkach, kiedy obok polowania polnego wykonywany jest planowy odstrzał zwierzyny kopytkowej, do wyżej wymienionych cech dochodzi także wymaganie umiejętności tropienia. Dla terenów, będących wyłącznie ostoją zwierzyny kopytkowej, psy powinny posiadać przedewszystkiem umiejętność tropienia. Przy częstszem występowaniu tamże zwierzyny skrzydlatej, zajęcy, królików lub lisów dodaje się konieczność dochodzenia i aportowania tej zwierzyny. Praca wodna może być wymagana tylko od psów, pracujących na odpowiednim terenie.

Przy próbach powinien psa prowadzić sam myśliwy. Tylko w wypadkach wyjątkowych łowczy powiatowy może zezwalać na prowadzenie psa przez zawodowego gajowego. Próby powinny być dokonywane, o ile to jest możliwe, bez sztucznych środków pomocniczych w normalnych warunkach odnośnego terenu i sezonu łowieckiego. Ocena psa winna być dokonana przez pojedyńczego sędziego, wyznaczonego przez łowczego krajowego z pomiędzy wybitnych i fachowo przygotowanych myśliwych, członków Związku łowieckiego Rzeszy. Próba posłuszeństwa powinna być przeprowadzona z każdym psem i polegać winna na odwołaniu psa od zdrowej zwierzyny przez gwizdek. Tropienie może być prowadzone bądź na otoku, bądź luzem, bądź też ogłoszeniem. Zakończone ono być winno aportowaniem wytropionej zwierzyny. Jeżeli próba tropienia, wskutek braku warunków naturalnych, wymaga zastosowania środków sztucznych, np. sztucznego tropu farbowego albo powłoki, musi to się odbywać ze ścisłem zachowaniem przepisów, ustalonych dla prób związkowych.

Za przeprowadzenie prób wartości użytkowej psów myśliwskich nie są pobierane żadne opłaty. Natomiast przygotowanie terenu oraz dostarczenie zwierzyny stanowi obowiązek samych myśliwych - właścicieli psów. Oni też zwracają koszty podróży sędziów. Ocena polega na orzeczeniu, czy pies jest psem użytkowym, bez dodatkowych określeń stopnia wartości psa. Od prób zwolnione są psy, które uzyskały pierwsze trzy nagrody na związkowych próbach psów oraz psy, wartość użytkową których stwierdził osobiście łowczy powiatowy, lub mianowani przez łowczego krajowego sędziowie. Pies, który na próbach odpadł, może być ponownie zgłoszony do prób jeszcze tylko dwa razy.

Nr. 57/1936, str. 1246. *Otwarcie niemieckiej wystawy łowieckiej w Berlinie.* — W dniu 25 stycznia r. b. w ramach t. zw. „Zielonego tygodnia" nastąpiło uroczyste otwarcie przez wielkiego łowczego Rzeszy, Göringa, pierwszej za czasów Trzeciej Rzeszy ogólnoniemieckiej wystawy łowieckiej. W długiem przemówieniu p. Göring podkreślił rolę łowiectwa we współczesnej gospodarce państwowej i zadania, ciążące na zrzeszonej braci łowieckiej. Dzisiejszy myśliwy służy nietylko sobie i swojej pasji łowieckiej, ale jest przedewszystkiem sługą narodu, gdyż, wykonując swe obowiązki myśliwego - hodowcy, powiększa dobro narodowe, i to zarówno natury gospodarczej, jak moralnej. Wartość ubitej zwierzyny w mięsie i w skórach łącznie z wydatkami na sprzęt myśliwski i amunicję stanowi wkład materjalny łowiectwa w majątek narodowy, zaś umiłowanie natury, sprawność fizyczna i wysokie nakazy etyki myśliwskiej stanowią bardziej może cenny dorobek moralny. W miarę rozpowszechniania się tych zasad łowiectwo przestaje być przywilejem kół wybranych, a staje się dostępne dla szerokich warstw ludności, ożywionych wspólnem ukochaniem natury i poczuciem obowiązku przekazania jej piękna w stanie nieuszczuplonym przyszłym pokoleniom. Tak rozumiane łowiectwo nie może być przeciwstawiane interesom rolnictwa, z którem stanowi nierozłączną, bo wzajemnie uzupełniającą się całość.

J. G.

KŁUSOWNICTWO.

(—*zet*—) W sądzie apelacyjnym w Poznaniu znalazła niedawno epilog sprawa kłusownika Antoniego Golasia, który we wrześniu r. ub. w towarzystwie niejakiego Szypy polował nielegalnie w lasach hr. Hochberga w Górze pow. czarnkowskiego. Wówczas, wobec strzału, danego przez Golasia w kierunku gajowych i postrzelenia gaj. Bekera w ramię i kolano, ten ostatni w obronie własnej użył broni, zabijając na miejscu Szypę.

Sąd Okręgowy w Poznaniu skazał Golasia za usiłowane zabójstwo gajowego na pięć i pół roku więzienia.

Skazany odwołał się do sądu apelacyjnego, który po szczegółowem rozpatrzeniu sprawy obniżył Golasiowi karę do 3 lat więzienia, zmniejszając mu ją na podstawie amnestji do połowy.

*

(—*zet*—) W lesie Sp. Akc. Godula w Paniowach (Śląsk) gajowy Ryszard Naudek postrzelił znanego kłusownika, Józefa Paducha.

Paduch o własnych siłach udał się do lekarza w Mikołowie, który go opatrzył, odsyłając do domu.

Dochodzenie stwierdziło, że Paduch razem z niejakim Józefem Bietrasem polowali w lesie Goduli na zwierzynę.

*

(—*zet*—) Dnia 4 stycznia b. r. gajowy dóbr Kozłowo-Walify (własność Banku Gosp. Kraj.), Jan Korkus, jadąc rowerem do st. kolejowej w Zedni, spotkał znanego sobie kłusownika, Juljana Grzesia, który szedł z dubeltówką.

Wezwany do zatrzymania się i oddania broni, Grześ, nie namyślając się, wystrzelił do Korkusa z odległości około 30 kroków, poczem uciekał w las. Korkus, szczęściem chybiony, pogonił za kłusownikiem, dopędził go i broń odebrał.

Grześ odpowiadać będzie przed sądem okręgowym w Białymstoku za usiłowanie zabójstwa gajowego.

*

(—*zet*—) W lesie, położonym w pobliżu wsi Rokiciny, znaleziono zwłoki zamordowanego handlarza skórami z Sochaczewa, nazwiskiem Abram Keller.

Obdukcja zwłok prócz licznych ran ciętych od noży, ustaliła szereg ran postrzałowych z broni myśliwskiej, nabitej śrutem.

Zachodzi przypuszczenie, że Kellera napadła szajka kłusowników, natknąwszy się nań podczas wykonywania swego procederu, a w nadziei, że kupiec ma przy sobie większą sumę gotówki.

Śledztwo jest prowadzone energicznie, pozatem czynione są obławy na zbrodniarzy.

*

(—*zet*—) Podczas obchodu lasu gajowy Bolesław Patajko ze wsi Dziemby, pow. Sokołów, napotkał dwóch kłusowników, polujących z psem. Jeden z nich wystrzelił do gajowego, zasłaniając sobie tem spokojny odwrót. Nabój trafił w nogę, a śruty utkwiły w bucie.

Dochodzenie ustaliło, że jednym z kłusowników był niejaki Zdunek ze wsi Kamieńczyk.

*

(—*zet*—) W lesie Krzyżkowickim, stanowiącym własność Rybnickiego Gwarectwa Węglowego, strażnik łowiecki Jan Stanko, w towarzystwie Teodora Drobika z Pszowa, natknęli się około godz. 23-ej na dwóch uzbrojonych w broń palną osobników.

Na wezwanie Stanki do odłożenia broni, kłusownicy poczęli wycofywać się z zagajeń. Wówczas strażnik posłał za uciekającymi swego psa, którego jednak gęsto ostrzeliwający się kłusownicy zabili. Pościg za nimi wśród nocy okazał się bezowocny.

*

(—*zet*—) W pierwszej dekadzie lutego, w lasach państwowych pod Krotoszynem podczas obchodu lasu został postrzelony gajowy Jan Światły. Ciężko rannego w głowę gajowego natychmiast po dokonanem odkryciu przewieziono do szpitala.

Na miejsce zjechała policja z psem, który po śladach doszedł do mieszkania niejakiego Jana Talarczyka, ten jednakże nie przyznał się do swego czynu, dopiero po skonfrontowaniu go ze Światłym został przez niego rozpoznany, jako sprawca. Talarczyka aresztowano.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniu 18 stycznia r. b. odbyło się polowanie na dziki u pp. Włodz. Kiwerskich w Szczepicach (Poznańskie). Opolowano tylko 120 ha. młodzików sosnowych. W dziewięciu pędzeniach dnia tego otropionych było około 70 dzików. W jednem pędzeniu wyszło na linję myśliwych 51 sztuk. Strzałów padło ogółem do dzików 53. Zabito jednak tylko 7 sztuk. Tak niewspółmiernie mały do ilości zwierzyny rozkład należy tłomaczyć tem, że strzały wszędzie na wąskich duktach w gąszczu były wyjątkowo trudne, że na należyte otoczenie miotów ze wszystkich stron było zbyt mało myśliwych. Nadmienić należy, iż w międzyczasie, od zaproszenia myśliwych do rozpoczęcia polowania, śnieg tak dalece stopniał, że tylko na duktach trochę go zostało, w gąszczach zaś zupełnie było czarno i kilka ranionych dzików przepadło.

Z trzech, biorących udział w polowaniu pań, dwie, a mianowicie: p. Marja Kiwerska (pani domu) i p. Aleksandra Kiwerska, strzelając do dwóch tylko dzików, zabiły po jednym.

Szczególnie piękny był strzał p. Marji Kiwerskiej do pojedynka, gdyż w pełnym galopie, na wąskim dukcie, pośród gąszczu: — zdążyła mu obydwie kule z ekspresa wpakować.

Do tak wyjątkowego zagęszczenia dziczego doszło się w Szczepicach dzięki nadzwyczajnie troskliwej opiece, z natury zresztą doskonałych, rewirów, niestrzelaniu ani jednego dzika poza jednorazowem tylko, dorocznem polowaniem, a przedewszystkiem niestrzelaniu i na tem polowaniu loch.

Aleksander Laszenko.

— Na terenach Nadniemeńskiego Kółka Łowieckiego na zbiorowych polowaniach ubito:

w październiku: 9 lisów, 3 cietrzewie, 35 kuropatw, 160 zajęcy, 4 słonki, 5 jarząbków i 1 błotniaka;

w listopadzie: 2 dziki, 2 lisy, 1 cietrzewia, 1 kuropatwiarza, 85 zajęcy;

w grudniu: 4 dziki, 5 lisów, 2 rogacze, 82 zające, 7 jarząbków;

w styczniu: 4 dziki, 3 lisy, 1 rogacza, 1 kuropatwiarza, 57 zajęcy, 6 jarząbków;

w lutym: 3 dziki, 7 lisów.

Razem: 13 dzików, 3 rogacze, 26 lisów, 384 zające, 35 kuropatw, 13 jarząbków, 4 cietrzewie, 4 słonki, 2 kuropatwiarze i 1 błotniak.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa